

## Nieznane skarby Muzeum Parafialnego



Fotografia: Stanisław Ociepka

**„Śnieżnica” - pionierem turystyki  
na Ziemi Limanowskiej**

**Nowe obiekty firmy Gold Drop**

**Dwa pogrzeby Józefa Becka**

**Bolesław Mężyk  
- żołnierz i nauczyciel**

**Dwie homilie - jubileusz 25-lecia  
konsekracji kościoła w Sowlinach**

**Wspomnienie o Annie Wierzyckiej**

**Feralny samochód  
- epizod z 1944 r. - cz. 2**

**Nasz tajemniczy krajan**

**Kamieniec mojego dzieciństwa**





## Nowe obiekty firmy Gold Drop







Firma Gold Drop istnieje na rynku chemii gospodarczej od 27 lat i zatrudnia blisko 200 osób. Jest znaczącym producentem środków czystości. W dniu 21 maja 2018 r., Gold Drop zakończył kolejny etap rozbudowy, oddając do użytku nowoczesne hale produkcyjne, magazynowe i biurowiec. Cała inwestycja została wykonana w oparciu o własne środki finansowe przy wsparciu dotacji unijnych. Uroczystego poświęcenia nowych obiektów dokonał biskup tarnowski Andrzej Jeź.

*– Jest to dla nas dzień wyjątkowy, w którym narodził się drugi Gold Drop – oddajemy nową halę produkcyjną, z nowoczesnymi mieszalnikami, linią rozlewniczą i oczyszczalnią ścieków, halę magazynową oraz biurowiec dla Zarządu i Działu Obsługi Klienta. Oznacza to, że nasze moce produkcyjne zwiększą się w dwójnasób. Decyzję taką trzeba było kiedyś koniecznie podjąć, gdyż na trudnym rynku środków czystości, gdzie rządzą wielkie koncerny, takie firmy jak Gold Drop muszą być przedsiębiorstwami nowatorskimi, nowoczesnymi i produkować produkty z tzw. wartością dodaną. Te inwestycje dają nam dwie możliwości: możemy produkować więcej oraz oferować produkty bardziej nowoczesne. Jak zawsze ważnym kryterium inwestycji było zachowanie wysokich standardów środowiskowych. W takim kierunku chcemy się rozwijać* – powiedział Stanisław Gągała, Prezes firmy Gold Drop, oficjalnie otwierając uroczystość.

W spotkaniu udział wzięli parlamentarzyści, przedstawiciele samorządów regionalnych i lokalnych, udziałowcy firmy, wykonawcy inwestycji, partnerzy handlowi, pracownicy oraz media.

Korzystając z tej wyjątkowej okazji, Samorząd Województwa Małopolskiego

przyznał Firmie Gold Drop medal „Polonia Minor” w podziękowaniu za budowanie potencjału gospodarczego regionu, aktywną działalność społeczną oraz pracę na rzecz Małopolski i jej mieszkańców. Medal przekazała na ręce Prezesa Stanisława Gągały Przewodnicząca Sejmiku Województwa Małopolskiego Urszula Nowogorska.

Po uroczystym otwarciu i poświęceniu nowych budynków, została odprawiona Msza święta w kościele parafialnym w Limanowej Sowlinach, której przewodniczył Ks. Bp Andrzej Jeź. Po Mszy Ordynariusz Diecezji Tarnowskiej otrzymał od Zarządu tytuł i statuetkę „Przyjaciela Firmy Gold Drop”. Zamyślem tej nagrody jest uhonorowanie osób i firm, które darzą życzliwością i przyjaźnią firmę Gold Drop, a także promują jej działania. Mottem przewodnim nagrody są słowa Henryka Sienkiewicza: „Przyjaźń jest jak nieśmiertelnik, błąd – ale nigdy nie więdnie”.

W drugiej części uroczystości, przy wspólnym obiedzie, był czas na krótkie przypomnienie początków działalności firmy, która 22 maja 2018 r. obchodzi 27 lat istnienia. Był czas na wyróżnienie osób, które od wielu lat współpracują z firmą, a także na podziękowania



Ks. bp Andrzej Jeź otrzymał od Zarządu tytuł i statuetkę „Przyjaciela Firmy Gold Drop”

dla osób szczególnie ważnych dla Gold Dropu. Statuetki oraz tytuł „Przyjaciela Firmy Gold Drop” zostały przyznane dla: Prof. Stanisława Hodorowicza, Starosty limanowskiego Jana Puchały, Prezes Polskapresse Oddział Kraków Małgorzaty Cetera – Bulka oraz wykonawcy z firmy DEGRO Andrzeja Grochowalskiego. Prezes Gągała wzruszonym głosem i z bukietem kwiatów podziękował także swojej małżonce Janinie za zrozumienie i wspieranie jego codziennych wyzwań.

Zarząd przyjął wiele gratulacji, wyrazów uznania oraz życzeń dalszego rozwoju od zgromadzonych gości.

**Dorota Janczy-Stożek**  
**Fotografie: Franciszek Natanek**

*Do życzeń dołącza się Redakcja „Echa Limanowskiego”*

# Dwa pogrzeby Józefa Becka



Mogiła Józefa Becka pokryta wieńcami i kwiatami - Warszawa 21 maja 1991 rok

Po wielu latach bezowocnej dyskusji odnoszącej się do ocalenia śladów pamięci rodziny Beków mieszkających 19 lat w Limanowej, a szczególnie prób odzyskania i zagospodarowania najcenniejszej stałej materialnej pamiątki po tej rodzinie, jakim był ich dom (tzw. „Bekówka”), stojący do dnia dzisiejszego przy zbiegu ulic: Piłsudskiego i Słonecznej, wybudowany na gruntach Marsów, na początku XX wieku przez seniora rodziny, Józefa Alojzego Beka, sekretarza Rady Powiatu Limanowskiego, obecnie zaczyna coś konkretnego dziać się w tym temacie w naszym mieście.

Pracownicy Muzeum Regionalnego Ziemi Limanowskiej zamierzają podjąć działania, które mają doprowadzić do powstania stałej wystawy poświęconej Józefowi Beckowi (powrócił do rodzowego nazwiska jako uczeń gimnazjum), ministrowi spraw zagranicznych II Rzeczypospolitej, na której także ma zostać zaprezentowane życie i działalność rodziny Beków w okresie limanowskim (1899-1918).

Jakie w Limanowej oprócz „Bekówki” mamy jeszcze ślady pamięci o Bekach?

Na cmentarzu parafialnym jest grób Anny Bekowej matki Józefa Beka – seniora, babki ministra. Na ścianie frontowej budynku Miejskiej Biblioteki Publicznej zamocowana jest tablica pamięci Józefa Alojzego Beka, zaś w dziale regionalnym tejże biblioteki znajdują sięteczki tematyczne związane z rodziną Beków. Obok budynku Sądu Powiatowego, mamy rondo im. ministra Becka. W Muzeum Parafialnym

w jednej z gablot umieszczono skromną ekspozycję o Józefie Becku, m.in. można tam zobaczyć reprodukcje: paszportu dyplomatycznego ministra Becka, jego legitymację służbową, fotografie oraz korespondencję Andrzeja Becka, syna ministra, z bp Piotrem Bednarczykiem, a także fotografie z pogrzebu Józefa Becka, na cmentarzu wojskowym na Powązkach w Warszawie – 21 maja 1991 r., na którym była delegacja z Limanowej.

Warto również sięgnąć do archiwalnych numerów „Echa Limanowskiego”, w których można odnaleźć wiele ciekawych i oryginalnych nigdzie do tej pory nie podawanych informacji o tej zasłużonej rodzinie zarówno dla regionu limanowskiego, jak i dla kraju.

W artykule Sławka Łuźnego zatytułowanym: *Pierwszy powiedział „nie” Hitlerowi*, przedstawiliśmy analizę słynnego wystąpienia Józefa Becka, ministra spraw zagranicznych w Sejmie 5 maja 1939 roku, w którym odrzucał żądania



Plk Józef Beck (1894-1944)

Niemiec wobec Polski („EL” wrzesień – październik 2009 r., nr 180-181).

Natomiast dr hab. Tomasz Jan Biedroń w artykule: *Józef Beck – żołnierz – polityk – dyplomata* („EL” styczeń – luty 2010 r., nr 184-185), zdał relację z konferencji, która odbyła się 4 listopada 2009 r. na Uniwersytecie Pedagogicznym w Krakowie. Sesja w Krakowie, przygotowana we współpracy z Limanową, odwoływała się do historii ojca Józefa Becka, który w latach 1899-1918 był mieszkańcem (i luminarzem) Limanowej.

W galicyjskiej Małopolsce Józef Beck (przyszły minister spraw zagranicznych) dorastał, w Krakowie w 1912 r. złożył maturę, a w Limanowej w czasie wakacji przebywał u rodziców, angażując się w tworzenie drużyn strzeleckich. Tu po raz pierwszy spotkał Józefa Piłsudskiego, swojego przyszłego przewodnika w karierze politycznej. Inne źródła podają, że stało się to w Zakopanem, gdy przebywał u stryja Dionizego Becka, ale zapewne było to w roku 1913. W tym czasie Naczelnik prowadził kurs oficerski Związku Strzeleckiego w Stróży. Jedno jest pewne, spotkanie to wywarło na młodym Becku wielkie piętno, którego konsekwencją była wierność polityczna wobec Józefa Piłsudskiego do końca jego życia.





Dom rodzinny Beków w Limanowej „Bekówka”, wybudowany na początku XX wieku. Fotografia z lat sześćdziesiątych

W związku ze śmiercią Andrzeja Becka, który był jedynym synem Józefa Becka i pierwszej jego żony Marii Słomińskiej, został napisany przez Sławka Łuźnego artykuł zatytułowany: *Przechodził przez życie cicho i skromnie, ale efektownie* („EL” listopad – grudzień 2011 r., nr 206-207). Oryginalnością tego artykułu są fotografie wykadrowane z dokumentalnego filmu pt: *O moim ojcu* z roku 2007, którego autorką, scenariusza i reżyserii, jest Bożena Garus-Hockuba. W filmie tym Andrzej Beck jest jednym z narratorów i wspomina spędzone ostatnie wakacje przed wybuchem II wojny światowej z ojcem Józefem w Augustowie. Z artykułu tego można również dowiedzieć się o zabiegach, jakie czynił Andrzej Beck, jak i jego przedstawiciele, aby odzyskać rodzinną posiadłość tzw. „Bekówkę” w Limanowej. Prawdopodobnie zniechęcony brakiem korzystnych rozwiązań, więcej do Limanowej nie przyjeżdżał.

Na początku stycznia 2002 roku nawiązał kontakt z Muzeum Dyplomacji i Uchodźstwa Polskiego w Bydgoszczy, do którego przekazał unikatowe pamiątki po swoim ojcu Józefie Becku, ostatnim ministrze spraw zagranicznych II Rzeczypospolitej.

Muzeum Dyplomacji i Uchodźstwa Polskiego Uniwersytetu Kazimierza Wielkiego w Bydgoszczy jest jedyną placówką w Polsce i na świecie zajmującą się gromadzeniem oraz udostępnianiem zbiorów dotyczących polskiej służby zagranicznej oraz historii uchodźstwa polskiego po 1918 roku. W tym właśnie

muzeum jest zgromadzona ekspozycja pamiątek po Józefie Becku.

Profesor Adam Sudoł, dyrektor Muzeum Dyplomacji i Uchodźstwa Polskiego, o pamiątkach po Józefie Becku przekazanych przez jego syna ponad 80-letniego Andrzeja Becka mieszkającego w Stanach Zjednoczonych tak pisał: *Pewnego dnia Andrzej Beck zadzwonił i zapytał, czy przyjmę pamiątki po jego ojcu. Oczywiście wyraziłem ogromną radość. Kilka dni później do muzeum przyszła paczka z USA. Wszystkie te dary mają ogromną wartość. Jest wśród nich paszport dyplomatyczny ministra Becka, karty wizowe, fotografie, odznaczenia wielu państw wraz z honorowymi dyplomami m. in. dyplom francuskiej Legii Honorowej, dyplom z Jugosławii czy unikalny dokument z Persji. Są także wszystkie nominacje Becka towarzyszące powołaniu go na ministra spraw zagranicznych, a podpisane przez prezydenta Mościckiego i inne osobistości.* Szkoda tylko, że nie znalazły one miejsca w Limanowej.

Archiwum Józefa Becka, znajduje się również w Instytucie Józefa Piłsudskiego w Ameryce. Prezesem tego Instytutu w latach 1993-1999 był syn ministra, Andrzej Beck, który potem do 2008r. był wiceprezesem. W zbiorach tegoż Instytutu znajdują się m. in.: kopie dokumentów osobistych Józefa Becka, materiały biograficzne o Józefie Becku, korespondencja Józefa Becka i Jadwigi Beck, kopie dokumentów dotyczących Józefa Becka z internowania w Rumunii,



Gimnazjalista Józef Beck - 1908 rok



Józef Beck, legionista z matką Bronisławą - 1914 r.

wycinki artykułów prasowych dotyczących Józefa Becka i inne.

Kolejnym opracowaniem w „Echu Limanowskim” był artykuł rocznicowy mojego autorstwa zatytułowany: *Należał do ludzi wybitnych – 70. rocznica śmierci Józefa Becka* („EL”, marzec – kwiecień 2014 r., nr 234 – 235). Ciekawostką w nim jest zaprezentowany z prasy konspiracyjnego – nielegalnego czasopisma „Głos Pracy” felieton zatytułowany: *Śp. Pułk. Józef Beck*, który ukazał się 10 dni po jego śmierci.

Zainteresowanych Czytelników odsyłam więc do archiwalnych numerów „Echa Limanowskiego”. W obecnym zaś wydaniu „EL” wzbogacamy informacje o fakty związane z ostatnimi latami jego życia. ►



► Po napaści Niemiec na Polskę oraz sowieckiej agresji, w nocy z 17 na 18 września 1939 r. minister Beck wraz z rządem przekroczył granicę Rumunii. Internowany przez władze rumuńskie, przebywał w Słanic Moldovana, Braşov oraz we wsi Snagor pod Bukaresztem. W październiku 1940 r. podjął nieudaną próbę ucieczki. Następnie od listopada 1940 r. przebywał wraz z żoną Jadwigą i pasierbicą w willi na przedmieściach Bukaresztu. Internowanemu stopniowo zaostrzano reżim, ponieważ w Rumunii doszły do władzy coraz bardziej radykalne organizacje prohitlerowskie. W tym czasie Beck zajmował się pisaniem swoich pamiętników, wydanych później pt. *Ostatni raport*, oraz modelarstwem okrętowym. Latem 1942 r. okazało się, że ma zaawansowaną gruźlicę. Choroba rozwijała się szybko, wiosną 1944 r. były minister nie był już w stanie sprawnie się poruszać. Po rozpoczęciu alianckich bombardowań Bukaresztu, przeniesiono Becka wraz z rodziną do wioski Stăneşti, gdzie mieszkał na odludziu w nieużywanym budynku dwuizbowej szkoły. Tam zmarł 5 czerwca 1944 roku.

W książce *Jedno życie. Tom II*, Jan Karski – prawnik i dyplomata, historyk, sekretarz dyrektora Biura Personalnego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, kurier i emisariusz władz Polskiego Państwa Podziemnego napisał: *W poniedziałek 5 czerwca o brzasku miała ruszyć aliancka nawałnica w Normandii opatrzona kryptonimem „Pan i Władca” („Overlord”). Pogoda nie pozwoliła. W Rumunii tego dnia dobiegał końca prywatny dramat. Konał na gruźlicę, plując i dusząc się własną krwią pułkownik Józef Beck, ostatni przedwojenny minister spraw zagranicznych. I dalej Karski wspomina: Mimo wszystkich jego iluzji, błędów i zaniechań nie zasłużył na taki los. Internowany w Rumunii, został tam na życzenie paryskiego rządu emigracyjnego zablokowany. Nie wykorzystano oferty wywiezienia go stamtąd przez Amerykanów, ponawianej przez jego przyjaciela, ambasadora Drexela Biddle’a. Nie dopomóżono mu potem w ucieczce, a być może nawet ujawniono ten zamiar Rumunom, by go aresztowali. Kiedy późną wiosną 1944 starania o wyciążenie Becka podjęli Szwajcarzy, było już za późno. Skończył dyktować książkę „Ostatni raport” i czekał na śmierć. Ta wyzwoliła go 5 czerwca w wiosce Stăneşti, gdzie dogorywał. Pochowano go w części wojskowej prawosławnego cmentarza*



Minister spraw zagranicznych Józef Beck w towarzystwie żony Jadwigi w warszawskim mieszkaniu - 1938 rok



Józef Beck z małżonką Jadwigą podczas wizyty w Rumunii

w Bukareszcie. W jego pogrzebie odprawionym zgodnie z honorami wojskowymi, brała udział m. in. rumuńska gwardia królewska, a ceremonię prowadził węgierski pastor kalwiński. Żona Jadwiga włożyła mu do trumny obrazek z Matką Boską Częstochowską. Oprócz pasierbicy Buby w pogrzebie brało udział paru Polaków. Był wśród nich jej kolega Leopold Unger, późniejszy słynny publicysta. Kiedy w 1991 roku Józefa Becka wreszcie złożono w polskiej ziemi na warszawskiej nekropoli powązkowskiej, Unger żegnał go po raz drugi jako jedyny uczestnik obu ceremonii.

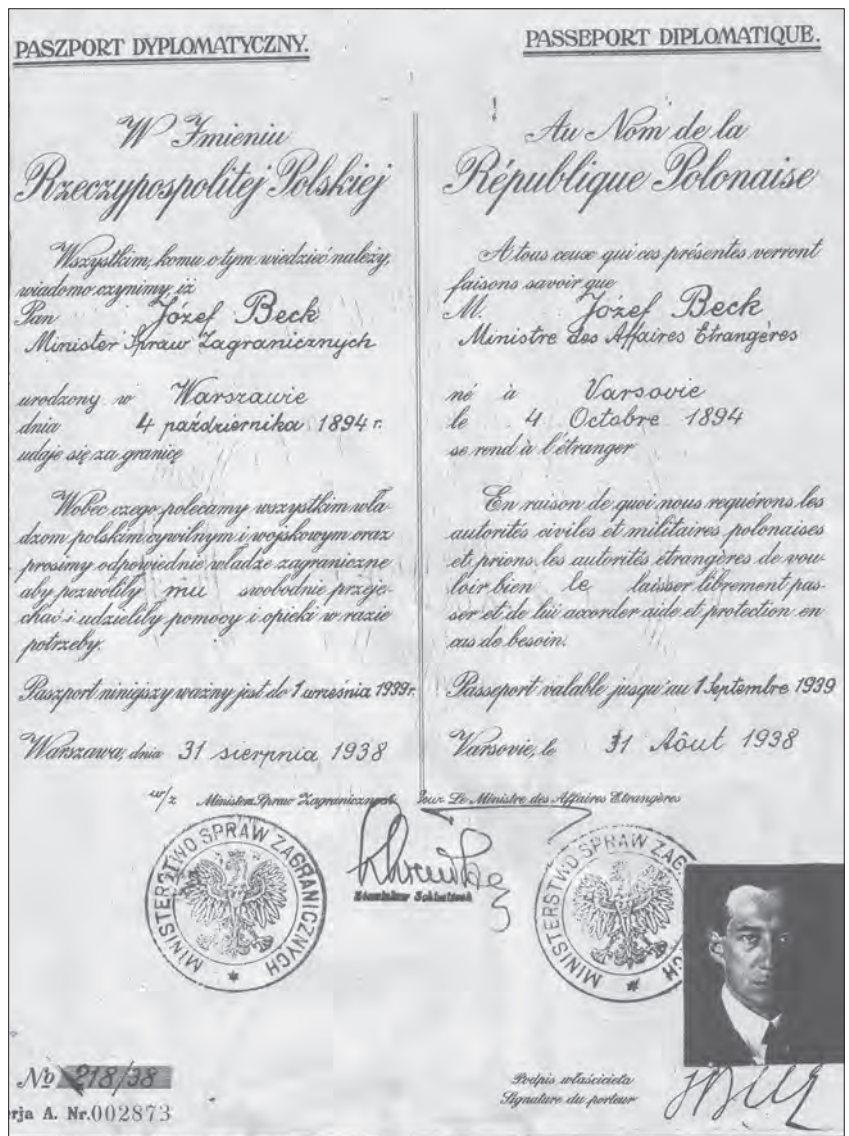


Jak tylko nastąpiła odwilż polityczna w Polsce po roku 1989, syn Józefa Becka zaczął zabiegać, aby prochy ojca sprowadzić do Polski. Stało się to w 1991 r. przy wsparciu ówczesnego ministra spraw zagranicznych, Krzysztofa Skubiszewskiego w rządzie Jana Krzysztofa Bieleckiego.

Pogrzeb ostatniego ministra spraw zagranicznych II Rzeczypospolitej odbył się 21 maja 1991 z honorami wojskowymi na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach w Warszawie.

Uroczystości pogrzebowe rozpoczęły się w świątyni warszawskiej wyznania protestanckiego (Józef Beck przeszedł z katolicyzmu na protestantyzm).

Przy muzyce, Marszu „My Pierwsza Brygada”, została złożona na katafalku trumna z prochami Józefa Becka, przepasana narodową flagą, na której umieszczono wojskową rogatywkę pułkownika. Przy trumnie wystawiono czterech wartowników na posterunku honorowym. Obok złożono wieńce, m.in. od prezydenta Lecha Wałęsy, rządu polskiego i kombatantów. Przed trumną umieszczono poduszki z odznakami orderów i odznaczeń. Rozpoczynając uroczystości kościelne, duchowny protestancki powiedział: *Uczestniczymy dzisiaj w jednej z tych dziwnych uroczystości, które coraz częściej się w kraju odbywają. Dziwna uroczystość bo i dziwne losy człowieka, który umarł niemal pół wieku temu na obczyźnie w Rumunii (...). Niespełna 20 lat miał Józef Beck, gdy Legiony wyruszały upomnieć się o Polskę. Młodzieńcza jeszcze miłość Ojczyzny kazała mu na stos rzucić swój życia los. Nic więc dziwnego, że był aż do końca tak bardzo przywiązany do swej godności legionisty i do swego dowódcy Marszałka Józefa Piłsudskiego (...).*



Kopia paszportu dyplomatycznego Józefa Becka. Reprodukcje z Muzeum Parafialnego w Limanowej



Józef Beck z synem Andrzejem na wakacjach w Augustowie - 1938 rok



Kopia legitymacji służbowej Józefa Becka

Po nabożeństwie żałobnym prochy Józefa Becka, w asyście kompanii honorowej ze sztandarem Legionów Polskich odprowadzono na miejsce wiecznego spoczynku. W kondukcje pogrzebowym za trumną podążał syn ministra Andrzej Beck, Leopold Unger, wspomniany przyjaciel pasierbicy Buby Burchard-Bukackiej, Ludwik Łubieński sekretarz ministra w 1939 roku oraz przedstawiciele licznie zgromadzonych grup kombatanckich, ▶





Płyta nagrobna Józefa Becka na cmentarzu prawosławnym w Bukareszcie, w części wojskowej. Z lewej pierwotny jej wygląd, z prawej po wykonaniu nagrobka przez syna Andrzeja

a także przedstawiciele polskiego rządu na czele z Krzysztofem Skubiszewskim. Nad trumną przemawiał Krzysztof Skubiszewski, który m.in. powiedział: *Polityka zagraniczna Józefa Becka obliczona była na utrzymanie niepodległości państwa w całości jego terytorium i granic. Ochrony interesów terytorialnych także poza sferą suwerenności Rzeczypospolitej Polskiej. Polityka Becka realizowała nakaz „nic o nas, bez nas”. Oddanie ziemi polskiej prochów Śp. pułkownika, ministra spraw zagranicznych i męża stanu, Józefa Becka nie wymaga iżby przedstawiać tutaj jego drogę życiową, bogatą w wydarzenia, a przedwcześnie i w okrutnych okolicznościach przerwana. Zostawmy to zadanie biografom na inny czas.*

W asyście kapelanów wojskowych różnych wyznań i muzyce Marszu Pierwszej Brygady, trumna z prochami Józefa Becka złożona została do grobu.

Na głowicy nagrobka umieszczono napis: **Józef Beck / 4 X 1894 – 5 VI 1944** oraz symbol odznaki pamiątkowej I Brygady Legionów Józefa Piłsudskiego. Na płycie zaś napis: **Żołnierz Pierwszej Brygady Legionów/ Minister Spraw Zagranicznych Rzeczypospolitej Polskiej/ w latach 1932-1939.** Poniżej cytata z przemówienia w Sejmie 5 maja 1939 r. **„Jest jedna tylko rzecz w życiu ludzi Narodów i Państw, która jest bezcenna. Tą rzeczą jest honor”.**

Tak więc po 47 latach Józef Beck spoczął na polskiej ziemi, jak pragnął przed śmiercią. Na wojskowym cmentarzu w Bukareszcie na jego mogile, gdzie pochowano go w 1944 r., pozostała odnowiona płyta nagrobna, na której napisano: *W okresie /1944-1991/ w tym grobie był pochowany/ Józef Beck/ minister spraw zagranicznych Polski/ w latach 1932-1939.*

W pogrzebie Ministra Becka uczestniczyła również delegacja z Limanowej. Z inicjatywy Stanisława Rakoczego działacza ZChN, późniejszego posła na Sejm RP I kadencji, do Warszawy pojechali: Robert Jaworz-Dutka – zastępca kierownika Urzędu Rejonowego w Limanowej, Rudolf Zaczyński – wiceburmistrz miasta, ks. Władysław Pasiut oraz członkowie zespołu „Limanowianie”: Ludwik Mordarski – kierownik zespołu, Barbara Szubryt-Papież i Marian Wójtowicz.

W regionalnej gazecie ukazał się krótki artykuł w którym m.in. napisano: *W sobotę 21 maja, na warszawskich Powązkach odbył się drugi oficjalny pogrzeb płk Józefa Becka (1894-1944), bliskiego współpracownika Józefa Piłsudskiego, od 1930 r. wicepremiera, w latach 1932-1939 ministra spraw zagranicznych Rzeczypospolitej Polskiej.*

*Drugi, z należnym ceremoniałem pochówek ministra Józefa Becka i złożenie*

*jego prochów na Powązkach to późne, ale należne pokreślenie ważności tej postaci dla historii Polski. W uroczystości tej wzięła udział również delegacja miasta Limanowa. W ten sposób podkreślono związek, jakie wiązały rodzinę Beków z miastem i powiatem limanowskim.*

**W artykule wykorzystano materiały z Polskiej Kroniki Filmowej nr 25, z 19 czerwca 1991 r.**

**Fotografie archiwalne i reprodukcje dokumentów pochodzą z Muzeum Parafialnego w Limanowej, Narodowego Archiwum Cyfrowego oraz z Muzeum Dyplomacji i Uchodźstwa Polskiego w Bydgoszczy, a także ze zbiorów p. Krystyny Mars-Gawlikowskiej i albumu fotograficznego „Okrucy pamięci – Limanowa na starej fotografii”**



Budynek dwuizbowej szkoły we wsi Stănesti, w którym zmarł Józef Beck





W czasie pogrzebu Józefa Becka w Warszawie - 1991 rok



Za trumną idzie Andrzej Beck, syn ministra



Przemawia Krzysztof Skubiszewski, minister spraw zagranicznych w latach 1989-1993, trzeci z lewej ks. Władysław Pasiut, ówczesny wikariusz parafii limanowskiej



Delegacja z Limanowej. W kondukcje pogrzebowym idą od lewej: Ludwik Mordarski, Barbara Szubryt-Papież, Marian Wójtowicz - przedstawiciele zespołu regionalnego „Limanowianie”. Z tyłu Rudolf Zaczynski i Stanisław Rakoczy. Fotografia z Muzeum Parafialnego w Limanowej



Nagrobek Józefa Becka na cmentarzu powązkowskim w Warszawie



## - Muzeum Dyplomacji i Uchodźstwa Polskiego w Bydgoszczy

W Bydgoszczy znajduje się niezwykle muzeum, które jako jedyne miejsce tego typu poświęcone jest dziejom polskiej dyplomacji. Zachęcony zarówno niewielką odległością, jak i piękną pogodą postanowiłem wybrać się w upalny majowy czwartek do Muzeum Dyplomacji i Uchodźstwa Polskiego w Bydgoszczy. Ręczona instytucja znajduje się w zabytkowej willi przy ul. Berwińskiego, która to została przekazana placówce w 1998 r. Rok później Muzeum otworło swoje drzwi dla zwiedzających. Oprócz swojej edukacyjnej wartości Muzeum stanowi również miejsce, gdzie prowadzone są badania naukowe, czego efektem jest kilka prac doktorskich a także habilitacyjnych, które powstały w oparciu o materiały zgromadzone w Bydgoszczy.

Jak już zostało powiedziane Muzeum, działające obecnie jako jedna z części Uniwersytetu Kazimierza Wielkiego, jako jedyne prezentuje zabytki dotyczące wyłącznie dziejów polskiej dyplomacji. Najwięcej możemy więc tam znaleźć materiałów z okresu międzywojnia, a także II wojny światowej. Na uwagę zasługuje przede wszystkim archiwum Karola Poznańskiego (1893-1971), polskiego konsula w Paryżu i Londynie, którego materiały w pierwszej kolejności zasiliły zbiory muzeum, stając się podwaliną pod jego dalszą działalność. Władze Muzeum wciąż bardzo aktywnie działają na rzecz pozyskiwania coraz to nowych eksponatów, a także materiałów archiwalnych. Sam byłem świadkiem pracy inwentaryzacyjnej pracowników muzeum, którzy właśnie opracowywali nowo pozyskane materiały.

Wśród spuścizn, jakie tam możemy znaleźć, jest także plik dokumentów przekazanych przez Andrzeja Becka. Syn pochodzącego z Limanowej ostatniego ministra spraw zagranicznych w II Rzeczypospolitej w 2002 r. przekazał 24 dokumenty, listy i innego rodzaju materiały po swoim ojcu Józefie do bydgoskiego Muzeum. Dokumenty zostały posegregowane i poukładane w albumie.

Na szczególną uwagę zasługują takie materiały jak paszport dyplomatyczny Józefa Becka wydany w 1938 r. wraz



Powyżej: Minister Józef Beck.

Poniżej: Minister Józef Beck i gen. Władysław Bortnowski - Zaolzie 1938 r. Fotografie: NAC

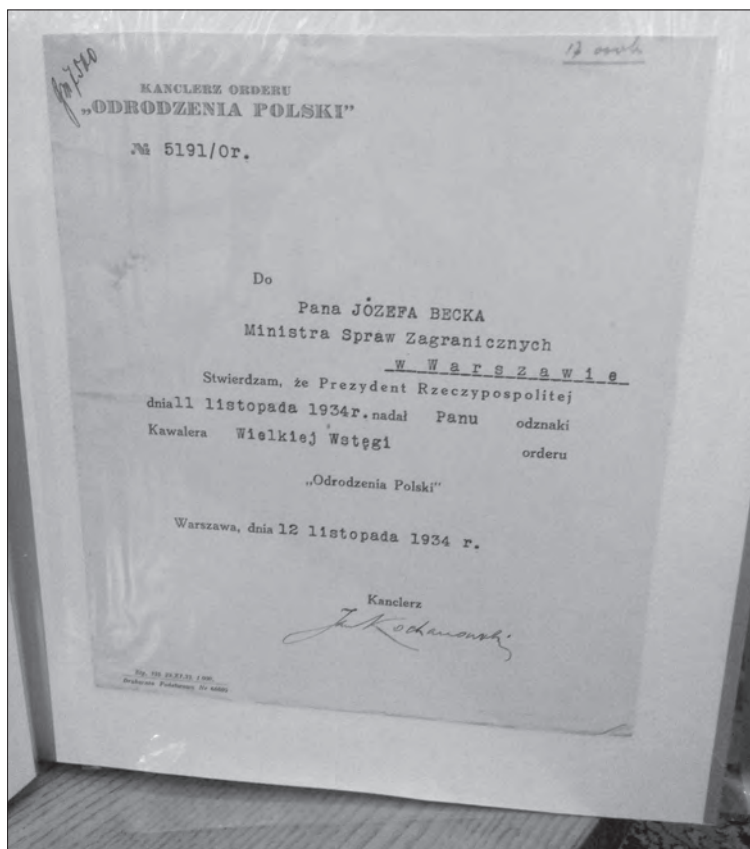
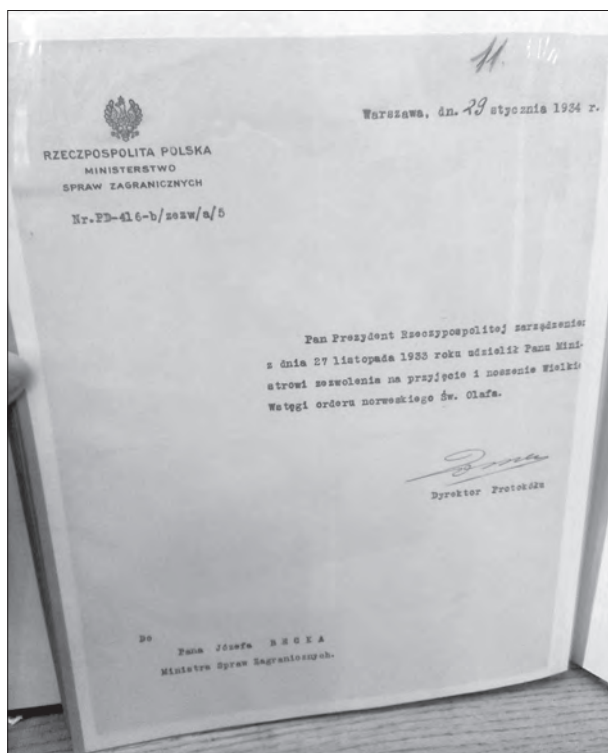
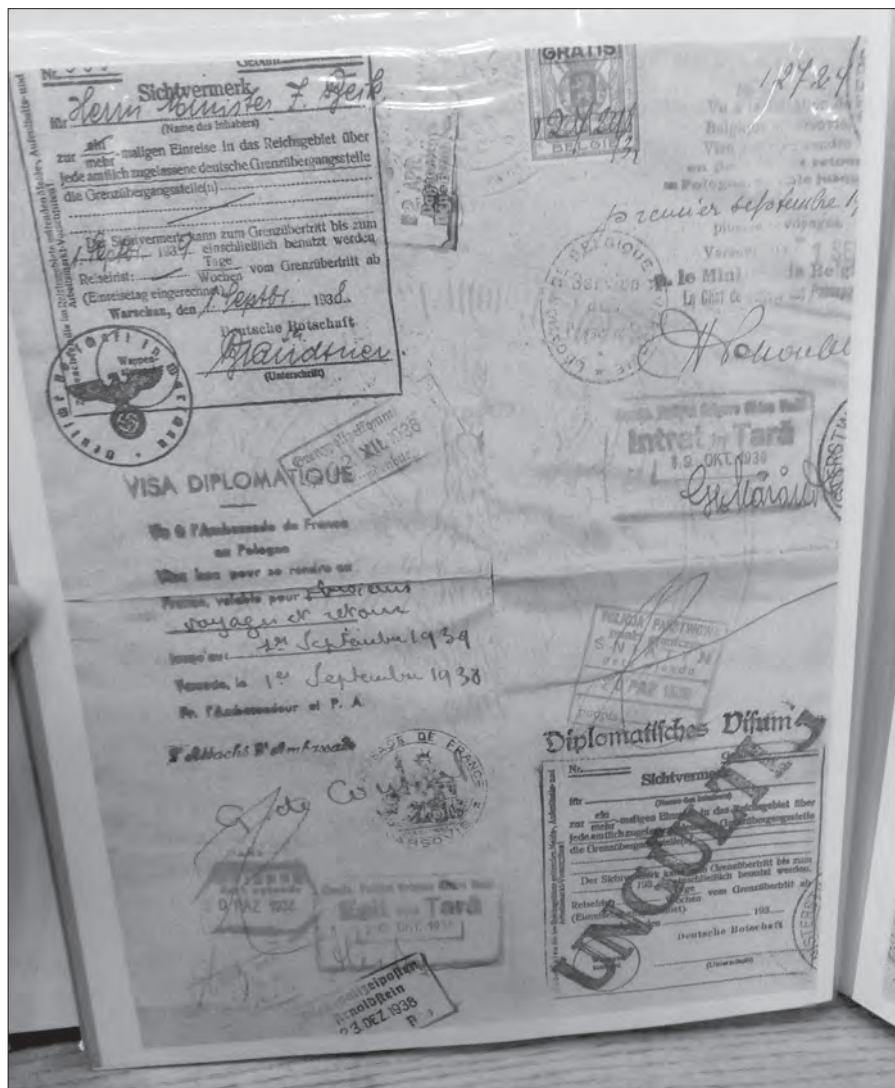




z wpisem z października 1939 r. upoważniającym go do przekroczenia granicy z Rumunią. W większości znajdziemy tam jednak dokumenty potwierdzające przyznanie mu zagranicznych orderów, w tym m.in. norweskiej Wielkiej Wstęgi orderu Św. Olafa (1934), jugosłowiańskiej Wielkiej Wstęgi orderu Orła Białego (1936), czy rumuńskiego Złotego Krzyża (1934). W dokumentach z archiwum Andrzeja Becka nie brakuje również unikalnych fotografii jego ojca. Możemy więc znaleźć zdjęcia portretowe ministra w mundurze, cylindrze czy we fraku. Najbardziej interesujące są jednak jego fotografie dokumentujące sprawowane funkcje państwowe. Na nich obok Becka możemy znaleźć najważniejszych polskich (Ignacy Mościcki, Edward Raczyński, Józef Piłsudski), a także zagranicznych (lord Halifax, John Wills) polityków. Oprócz spuścizny przekazanej w 2002 r. Muzeum dysponuje także dokumentami dyplomatycznymi z odręcznymi podpisami Becka.

Wizyta w uniwersyteckim muzeum jest doskonałym pomysłem dla osób, które chcą poznać historię polskiej dyplomacji. Jest to propozycja skierowana zarówno do amatorów, jak i profesjonalistów, gdyż Muzeum jest otwarte dla wszystkich zwiedzających. Pracownicy chętnie udostępniają swoje zbiory, które z roku na rok są coraz liczniejsze.

**Reprodukcje dokumentów wykonał:  
Tomasz Jacek Lis**





# „Śnieżnica” – pionierem turystyki na Ziemi Limanowskiej



Budynek „Śnieżnicy”, na dachu widoczny napis Centrum Informacji Turystycznej - początek lat siedemdziesiątych XX wieku

Przez pół wieku na terenie Ziemi Limanowskiej działało przedsiębiorstwo turystyczne „Śnieżnica”, które kilkadziesiąt lat temu miało duży wpływ na rozwój turystyki w regionie. Istniało mniej więcej tyle samo lat w czasach „słusznie minionych”, jak i w III RP w zupełnie odmiennych warunkach rynkowych.

W Polsce Ludowej turystyka, podobnie jak inne gałęzie gospodarki, poddana była państwowej kontroli i centralnemu planowaniu. Główny Komitet Kultury Fizycznej i Turystyki koordynował rozwój turystyki. Miał również swoje powiatowe odpowiedniki. Na terenie limanowskiego, w pierwszych latach powojennych właściwie nie było żadnej infrastruktury turystycznej. W latach 60. władze powiatowe podjęły starania w kierunku zmiany tego stanu, gdyż powiat posiadał niewykorzystany potencjał turystyczny. Staraniom tym pomogła uchwała Rady Ministrów z 1963 r. w sprawie koordynacji zagospodarowania turystycznego kraju, która zaliczyła powiat limanowski do terenów mających szczególne walory turystyczne. W powiatach

tych można było prowadzić odpowiednie działania inwestycyjne w infrastrukturę turystyczną i rekreacyjną. Dwa lata wcześniej GKKFiT wydał zarządzenie dające możliwość tworzenia ośrodków sportu, turystyki i wypoczynku. Na tej podstawie Prezydium Powiatowej Rady Narodowej w Limanowej, utworzyło pod koniec 1964 r. zakład budżetowy: Powiatowy Ośrodek Sportu, Turystyki i Wypoczynku „Śnieżnica”. Zwierzchni nadzór nad nim sprawował GKKFiT, a bezpośrednio jego powiatowy odpowiednik, który przekazał nowemu przedsiębiorstwu posiadaną przez siebie infrastrukturę: ośrodki kempingowe w Szczyrzycu, Przyszowej i Porębie Wielkiej oraz schronisko turystyczne na Śnieżnicy w Kasinie Wielkiej i parking na rynku w Limanowej. Oprócz

szerokiej działalności w obsłudze i organizacji ruchu turystycznego w powiecie, miał być też zakładem prowadzącym niedochodową działalność, jak np. konserwacja obiektów sportowych, na którą otrzymywał dotację z budżetu powiatowego. Pierwsze lata działalności „Śnieżnicy” były trudne. Brak było większej bazy noclegowej w powiecie, nie istniały w terenie zakładowe ośrodki wypoczynkowe. Kłopotem była słaba dostępność komunikacyjna niektórych miejscowości, brak było zarówno połączeń autobusowych jak i sieci telekomunikacyjnej. Na początku zakład posiadał jedynie 120 miejsc sezonowych w swojej bazie noclegowej – w kempingach i kwaterach prywatnych, a pracowało w nim jedynie 8 osób. Władze powiatowe zainteresowane większym rozwojem turystyki w powiecie, zmieniły formę organizacyjną ośrodka, przekształcając go w 1973 r. w samodzielne przedsiębiorstwo państwowe o nazwie Limanowskie Przedsiębiorstwo Turystyczne






Schronisko na Śnieżnicy

**SCHRONISKO  
TURYSTYCZNE  
„ŚNIEŻNICA”  
ZAPRASZA**




Informatory Przedsiębiorstwa Turystycznego „Śnieżnica”



**WOJEWÓDZKIE  
PRZEDSIĘBIORSTWO  
GOSPODARKI TURYSTYCZNEJ  
ODDZIAŁ „ŚNIEŻNICA” W LIMANOWEJ**  
ul. Świerczewskiego 19  
tel. 437. 295, 223 telex: 0325293

**BAZA NOCLEGOWA:**

- Schronisko Turystyczne kat. II na stoku Śnieżnicy w Kasinie Wielkiej, miejsc 91, tel. Dobra 76,
- Dom Turystyczny „Szczyrzczanka” w Szczyrzycu, kat. II — 45 mn., tel. 36,
- Motel Turystyczny kat. II w Mszanie Dolnej — 110 mn., Mszana Dolna ul. Nowotki 24, tel. 275,
- Hotel Domu Młodzieży im. J. Krasickiego w Limanowej — 90 mn. (uruchomiony w II połowie 1978 r.),
- Campingi: Limanowa — 40 mn., Przyszowa 50 mn., Szczyrzyc — 40 mn.,
- Kwatery prywatne kat. II — 2000 mn. (Dobra — 90 mn.),
- Pola Namiotowe — 100 mn. (przy Schronisku na Śnieżnicy — 40 mn.).

**BAZA GASTRONOMICZNA:**

- Jadłodajnia Schroniska na Śnieżnicy kat. II — 70 miejsc, bufet,
- Jadłodajnia Domu Turystycznego w Szczyrzycu kat. II — 80 miejsc,
- Motel Turystyczny w Mszanie Dolnej — Restauracja kat. II — 156 mk., Ształas Gastronomiczny — 60 mk., kawiarnia — 70 mk.,
- Stołówki prywatne przy bazie kwater prywatnych — 630 mk.

**INFORMACJA TURYSTYCZNA:**

- Centrum Informacji Turystycznej O/Śnieżnica — Limanowa ul. Orkana 4, tel. 223,
- Biuro Obsługi Ruchu Turystycznego O/Śnieżnica Limanowa ul. Świerczewskiego 6, tel. 437, telex: 0325293,
- Rejonowe Biuro Zakwaterowania O/Śnieżnica — Limanowa ul. Orkana 4, tel. 223,
- Punkt „IT” Schronisko Turystyczne na Śnieżnicy — tel. Dobra 76,
- Punkt „IT” Dom Turystyczny w Szczyrzycu — tel. 36,
- Punkt „IT” Motel Turystyczny Mszana Dolna — tel. 275,
- Ekspozytura BORT w Mszanie Dolnej ul. Nowotki 24, tel. 417.

DW. 2648/78 10 000 E-21/380

„Śnieżnica”. Zakład prowadził działalność turystyczną poprzez rozbudowę i eksploatację infrastruktury turystycznej, organizowanie imprez sportowych i

turystycznych oraz prowadzenie biura zakwaterowania. Ponadto prowadził gastronomię i usług przewozowe, organizował i obsługiwał wycieczki, dowoził

pracowników do pracy w innych miastach oraz zajmował się informacją turystyczną, sprzedażą wydawnictw turystycznych i pamiątek regionalnych. Działalność była więc bardzo szeroka. Do połowy lat 70. zbudowano m.in. wyciąg narciarski na Łysej Górze k/ Limanowej, basen kąpielowy w stolicy powiatu i motel w Mszanie Dolnej. Kilka lat później, po powstaniu województwa nowosądeckiego, decyzją nowego wojewody, utworzono w Nowym Sączu Wojewódzkie Przedsiębiorstwo Gospodarki Turystycznej skupiające dotychczasowe terenowe przedsiębiorstwa ze zlikwidowanych powiatów. W jego skład weszła „Śnieżnica” jako samodzielny oddział na pełnym rozrachunku gospodarczym. Zdecydowano wtedy część majątku przekazać Miejsko-Gminnemu Ośrodkowi Sportu i Rekreacji w Limanowej: parking na rynku w Limanowej, wyciąg narciarski na Łysej Górze oraz basen. W II połowie lat 70. nastąpił duży rozwój przedsiębiorstwa. „Śnieżnica” dysponowała już sporym majątkiem jak na ówczesne czasy, czterema obiektami noclegowymi: schroniskiem na stoku Śnieżnicy w Kasinie Wielkiej, Motelem w Mszanie Dolnej, Domem Turystycznym w Szczyrzycu oraz Hotelem w Domu Młodzieży im. Janka Krasickiego w Limanowej. Dawało to ponad 300 własnych miejsc noclegowych, ponadto ok. 1600 w wynajmowanych kwaterach prywatnych. Do tego dochodziły jeszcze pola namiotowe i kempingi. „Śnieżnica” w tym czasie rozwinęła również swój własny transport – zakupiono głównie autokary, ale również samochody dostawcze, zorganizowano bazy transportowe. Wybudowano też 2 wyciągi narciarskie: w Kasinie Wielkiej i w Szczawie. Oprócz wspomnianych usług kwaterunkowych oraz posiadania własnej infrastruktury turystycznej, przedsiębiorstwo organizowało wczasy latem i zimą (z nauką jazdy na nartach), wczasy świąteczne, obozy kondycyjne, wędrownie, kuligi, ogniska z kapelą góralską, dancingi, kursokonferencje, wypożyczalnię sprzętu sportowo-turystycznego, wycieczki piesze w Gorce i Beskid Wyspowy, wycieczki autokarowe krajowe i zagraniczne – głównie do Czechosłowacji, Węgier i NRD. Przedsiębiorstwo posiadało również własne restauracje i kawiarnie w różnych obiektach, m.in. „Świerkowa” i „Pod Muszlą” w Limanowej, kawiarnia Ształas Gastronomiczny i w Motelu w Mszanie Dolnej. Nie należy zapominać, że



▶ punkty sprzedaży detalicznej „PEWEX” znajdowały się w obiekcie przedsiębiorstwa na limanowskim rynku również obok restauracji „Świerkowa” oraz w motelu w Mszanie Dolnej. Z pewnością lata 70. to najdynamiczniejszy rozwój przedsiębiorstwa. Działalność inwestycyjną w tym czasie prowadzono w dużej mierze środkami z Centralnego Funduszu Turystyki i Wypoczynku o charakterze zwrotnym (kredyty) i bezzwrotnym. Podobnie jak w innych państwowych przedsiębiorstwach nie było to efektywne wykorzystywanie zasobów. I takie być nie mogło przy socjalistycznej gospodarce planowej. Wykonanie często zbyt wyśrubowanego planu w turystyce, która jest uzależniona od czynników zewnętrznych (głównie pogody) było trudne. Niewykonanie go wiązało się z brakiem premii czy 13 pensji. W zakładzie zatrudnionych było zbyt wiele osób, niespójny był system wynagrodzeń, dokonywano niepotrzebnych zakupów. Słowem wszystkie ujemne strony systemu dały o sobie znać, odbijało się to wszystko na jakości usług świadczonych przez przedsiębiorstwo. Pod koniec lat 70. zaczął się kryzys, były kłopoty z zaopatrzeniem. W 1981 r. w okresie „karnawału Solidarności” postanowiono zmienić organizację wojewódzkiego zakładu w celu lepszej jego efektywności. Uczyniono to poprzez usamodzielnienie poszczególnych oddziałów, uznając że model centrali wojewódzkiej był jedną z przyczyn kłopotów. Zarządzeniem wojewody nowosądeckiego zlikwidowano WPGT i powołano w jego miejsce 6 samodzielnych jemu podporządkowanych przedsiębiorstw, w tym m.in. Przedsiębiorstwo Turystyczne „Śnieżnica” w Limanowej. W latach osiemdziesiątych przedsiębiorstwo nadal się rozwijało, choć ogólny regres w gospodarce kraju nie ułatwiał działalności. Najważniejszą inwestycją lat 80. była budowa w Limanowej hotelu „Jaworz”, ukończonego w 1988 r. Przedsiębiorstwo w latach 70. i 80. było ważnym pracodawcą na Ziemi Limanowskiej, w szczytowym okresie zatrudniało ok. 190 stałych pracowników. Baza noclegowa w tym okresie wynosiła ok. 2500 miejsc noclegowych (większość kwatery prywatne). Pomyślny rozwój w latach 80. był możliwy dzięki współpracy z Przedsiębiorstwem Turystycznym „Tatry” z Zakopanego w latach 1979-1990. Przedsiębiorstwo to było najbardziej



Wyciąg narciarski na Lysej Górze



Hotel Jaworz przy zalewie na Potoku Starowiejskim w Limanowej - pocztówka



Budynek „Śnieżnicy” - dawna kamienica Tomasza Biedy - burmistrza Limanowej w latach międzywojennych





Basen kąpielowy w parku miejskim w Limanowej



Motel w Mszanie Dolnej



Dom Turystyczny Szczyrzyczanka - Jadłodajnia

atrakcyjnym partnerem w województwie nowosądeckim dla dużych zakładów państwowych z kraju. Wspólnie ze „Śnieżnicą” zakopiańczy brali udział w giełdach turystycznych, na które byli zapraszani przedstawiciele wydziałów socjalnych dużych zakładów państwowych. Przedstawiciele firm państwowych, po zapoznaniu się z ofertą dwóch przedsiębiorstw turystycznych, składali zamówienia na wczasy pracownicze, obozy, wycieczki, kolonie, zimowiska. Dwudniowe giełdy zaczynały się zazwyczaj w Limanowej, a kończyły w Zakopanem. Pochodzący z Mszany Dolnej, dyrektor PT „Tatry”, Ryszard Sikora, wspierał limanowską „Śnieżnicę”. Pracownicy PT „Tatry” nie mogąc obsłużyć wszystkich zainteresowanych, kierowali wczasowiczów i turystów do „Śnieżnicy”. Dochodziło nieraz do zabawnych sytuacji, gdy turyści z głębi Polski, przekonani że jadą do Zakopanego czy okolic znajdowali się w Limanowej, Mszanie Dolnej albo ich sąsiedztwie. Szybko przekonywali się do atrakcyjności Ziemi Limanowskiej. W tym najlepszym okresie korzystało z różnej formy pobytu przy pomocy limanowskiego przedsiębiorstwa ok 30 tys. osób rocznie. Podczas ferii zimowych było widać na Ziemi Limanowskiej bardzo dużo młodzieży szkolnej. Należy pamiętać, że wtedy ferie były w jednym terminie dla całego kraju, co było korzystniejsze dla Limanowej i okolicy – przecież wszystkie dzieci z Polski nie mogły wyjechać do najatrakcyjniejszych w województwie miejscowości zimowych, takich jak np. Zakopane, Rabka czy też Krynica Zdrój. Przedsiębiorstwo wynajmowało autokary dla parafii, które organizowały wycieczki-pielgrzymki, pomimo nieprzychylności władz.

Zmiany ustrojowe w 1989 r. postawiły przed przedsiębiorstwem trudne wyzwania, którym niełatwo było sprostać w realiach gospodarki rynkowej oraz otwarcia granic. Przede wszystkim zaczęły zniknąć w całej Polsce duże państwowe zakłady, które organizowały bezpośrednio wypoczynek dla pracowników i ich rodzin. Pobliska Słowacja po otwarciu granic stała się atrakcyjniejsza zarówno krajoznawczo, jak i cenowo. Wreszcie można było łatwo dostać paszport, wyjechać i zobaczyć jak wygląda świat poza Polską. Nasi południowi sąsiedzi mieli też lepszy standard usług. Z pewnością wprowadzenie ustawowego podatku od obiektów państwowych tzw. dywidenda, ▶



► w okresie załamania ruchu turystycznego na początku lat 90., mogło przesądzić o losie przedsiębiorstwa. W celu uniknięcia płacenia dywidendy, zdecydowano o nieodpłatnym przekazaniu obiektów hotelarsko-gastronomicznych i wyciągów narciarskich lokalnym miastom i gminom. Sąsiednie przedsiębiorstwa turystyczne były likwidowane jedno po drugim (np. „Tatry”, „Podhale”, „Jaworzyna Krynicka”). „Śnieżnica” mimo ciężkich warunków działania na początku lat 90. radziła sobie całkiem dobrze. Co prawda musiała się pozbyć części majątku i zredukować zatrudnienie do ok. 50 osób, ale wciąż działała. Jak wspomina długoletni i zasłużony dyrektor - Bronisław Wrona, było to możliwe dzięki zawarciu dobrej umowy z okręgiem iwanofrankowskim z zachodniej Ukrainy w 1988 r. (wówczas jeszcze republiki sowieckiej). Umowa zawarta na 5 lat dawała wyłączność przedsiębiorstwu na organizację wycieczek w ten rejon Ukrainy na trzy ówczesne województwa – nowosądeckie, tarnowskie i krakowskie. Były to 5 dniowe wycieczki barterowe. Rocznie organizowano ich ok. 170-200, każda dla ok. 50 osób. Polegało to na tym, że autokary „Śnieżnicy” dojeżdżały do przygranicznych Mościsk. Do autokarów jej wsiadali Ukraińcy, do autokarów ukraińskich polscy „turyści”. Rocznie dawało to ok. 8000 osób dla każdej ze stron osobno. Wówczas te wyjazdy miały charakter raczej handlowy niż turystyczny, w kraju był niedobór wielu towarów. Na Ukrainie było tanie złoto, które można było drożej sprzedać w kraju. Ukraińców kwaterowano w hotelach przedsiębiorstwa, a jak tych było mało to w dodatkowo wynajmowanych kwaterach. Ukraińscy turyści, zajmowali się głównie handlem na limanowskich targowiskach. Sprzedawali sprzęt AGD, narzędzia i wiele innych towarów, których w kraju brakowało. Takie to były czasy. Jednakże, gdy umowa dobiegła końca, coraz trudniej było działać przedsiębiorstwu. Dyrekcja myślała o prywatyzacji, poszukiwała inwestorów, ale chętnych nie było. Pojawiła się koncepcja spółki pracowniczej. Większość załogi przekonała się do pomysłu, gdy inne przedsiębiorstwa turystyczne zaczęły upadać. 31 maja 1996 r. 34 pracowników zawiązało Spółkę z o.o. pod nazwą P. T. „Śnieżnica”. Wybrano zarząd spółki, którego prezesem został dotychczasowy dyrektor Bronisław Wrona oraz radę nadzorczą.



Pokój w motelu w Mszanie Dolnej

Dzięki funduszom PHARE opłacono polsko-kanadyjską firmę konsultingową, która wyceniła majątek zakładu. Problemem był brak kapitału, jednakże pomóc sobie i przedsiębiorstwu chciała również załoga. Zrezygnowała przez dwa lata z dopłat wczasowych i „trzynastej pensji”. Przedsiębiorstwo zwróciło się do wojewody nowosądeckiego, jako do organu założycielskiego, o wsparcie procesu prywatyzacji przedsiębiorstwa drogą leasingu majątku zakładu przez spółkę pracowniczą. W imieniu wojewody proces ten prowadziła Dyrektor Wydziału Rozwoju Gospodarczego Urzędu Wojewódzkiego w Nowym Sączu (p. Maria Kuliś). Pani Kuliś wsparła z życzliwością starania prywatyzacji przedsiębiorstwa. Kapitał zakładowy nowej spółki początkowo ustalony na 90 tys. złotych, podniesiony został we wrześniu 1996 r. do ponad 151 tys. złotych. Oprócz wpłat pracowniczych, wzięto przykład z pomorskiego przedsiębiorstwa turystycznego w Słupsku (PT „Przymorze”), które skorzystało z pomocy gdańskiego Banku Własności Pracowniczej. Pracownicy „Śnieżnicy” zaciągnęli tam również pożyczkę (37,7 tys. kredytu). Wymagany kapitał spółki miał zostać zgromadzony na dzień likwidacji państwowego P.T. „Śnieżnica”. Wojewoda nowosądecki postawił w listopadzie 1996 r. państwowe P.T. „Śnieżnica” w stan likwidacji, w celu odpłatnego przekształcenia

przedsiębiorstwa w prywatną spółkę pracowniczą. Przekształcenie zakończyło się 28 lutego 1997 r. Jeden udział pracowniczy kosztował 100 złotych, pracownicy posiadali po kilkadziesiąt udziałów, kadra kierownicza ponad 100. Spółka spłacała przekazany majątek państwowy przez 10 lat. Zmieniał się również sposób funkcjonowania, dostosowując się do potrzeb rynku. Główne przychody (ponad 50%) przynosiły usługi gastronomiczne z restauracji i kawiarni „Świerkowa”, w hotelu „Jaworz” oraz barze „Śnieżynka” na ul. Targowej. Spore dochody, bo ok. 20% dawał prowadzony przez pracowników spółki sklep elektrotechniczny na ulicy Targowej. Czyszn z wynajmu własnych lokali również przynosił ok. 10% dochodów. Tak samo noclegi w „Jaworzu” oraz usługi biura turystycznego – zarówno obsługa przyjezdnych (obozy sportowe, wycieczki), jak wyjazdy krajowe i zagraniczne (wycieczki do Lwowa i okolic do Rzymu-Watykanu) także dawały po 10%. Jeszcze przez pierwsze 5 lat od prywatyzacji, „Śnieżnica” świadczyła usługi transportowe – głównie dowóz pracowników do Zakładów Tytoniowych w Krakowie oraz w mniejszym zakresie usługi turystyczne. Hotel „Jaworz” miał być wizytówką przedsiębiorstwa, dostosowano jego standard do nowszych trendów. Trzeba zaznaczyć, że była to jedyna spółka pracownicza w byłym województwie nowosądeckim, a jedna z dwóch w Małopolsce w branży turystycznej (w całym kraju było ich wtedy 5). Spółka pracownicza przetrwała wraz z pracownikami jeszcze kilkanaście lat, rozwiązano ją w 2014 r. Zmieniły się czasy i trudno prowadzić działalność w tego typu przedsiębiorstwie. Długoletni i niemłodzi pracownicy, z których większość była już w wieku emerytalnym, uznali, że najlepszym rozwiązaniem będzie podział kapitału spółki pomiędzy pracowników-udziałowców. Podjęto uchwałę o rozwiązaniu spółki i jej likwidacji, chociaż zagrożenia upadłością spółki nie było – kapitał zakładowy nie był naruszony przez wszystkie lata istnienia. Po 50 latach istnienia duży niegdyś pracodawca na Limanowszczyźnie przestał istnieć. Przez te wszystkie lata pracowało tam ponad 900 osób.

**Fotografie: Archiwum Narodowe w Krakowie Oddział w Nowym Sączu, arch. albumu „Okruchy pamięci”**



# Bolesław Mężyk - żołnierz i nauczyciel

Opisując w kilku numerach „Echa Limanowskiego” swe dziecięce sowlińskie przygody i wybryki z czasów szkolnych, nie mogłem choćby w kilku króciutkich wzmiankach nie wspomnieć z wielką sympatią Bolesława Mężyka, kierownika słynnej „Szkoły Ćwiczeń” przy Liceum Pedagogicznym.

Podejrzewam, że w rewanżu za ten skromny gest, trafiła w moje ręce obszerna biografia zasłużonej, a jakże niesłusznie zapomnianej postaci żołnierza, oficera kampanii wrześniowej 1939 r. i dowódcy partyzanckiego oddziału 1. PSP – AK w Łukowicy pseudonim „Mirek”, a także wieloletniego pedagoga, kierownika limanowskich szkół w Kaninie i Sowlinach.

Biografię Bolesława Mężyka opracował na podstawie relacji, wspomnień, dokumentów i fotografii syn, Mirosław, dla najbliższej rodziny, dzieci, wnuków... - nie do publikacji.

Przekonywałem go serdecznie, że postać ojca Bolesława jest zbyt ważna dla jego żyjących jeszcze wychowanków, a także dla historii Sowlin, by nie rozplynęła się jak wiatr dziejów, podobnie jak dymy kominów sowlińskiej „Rafinerii Nafty”.

W końcu Mirek, mój szkolny kolega od pierwszej do jedenastej klasy, zgodził się opublikować na łamach „EL” wybrane fragmenty biografii ojca Bolesława Mężyka, z moim krótkim wstępem i komentarzami sygnowanymi (MP) – Marek Pankiewicz.

Tak więc po wielu latach zapomnienia, dzieje Bolesława Mężyka przedstawione zostaną w trzech kolejnych wydaniach „Echa Limanowskiego”.

## Okres młodości i dni kampanii wrześniowej

Bolesław Mężyk pochodził z Łęgu Tarnowskiego. Szkołę średnią, Państwowe Gimnazjum im. Kazimierza Brodzińskiego w Tarnowie ukończył w 1932 r., po czym jak większość jego rówieśników „z cenzusem” matury zobowiązany był, jako kandydat na przyszłego oficera rezerwy, odbyć roczną Szkołę Podchorążych. Bolesław Mężyk ukończył SPR Piechoty w Zambrowie i po odbyciu obowiązkowego stażu w jednostkach liniowych Wojska Polskiego uzyskał stopień podporucznika z przydziałem mobilizacyjnym do 1. Pułku Strzelców Podhalańskich w Nowym Sączu. Odbyte przeszkolenie wojskowe i oficerski stopień w znacznej mierze zaważyły na jego dalszych losach życiowych (c.d. zawierają udostępnione przez ich autora, Mirosława Mężyka fragmenty oryginału biografii ojca – przyp.MP).

W latach 1935-1937 studiował geografii i biologię w Państwowym Pedagogium w Krakowie, uzyskując dyplom nauczyciela szkół podstawowych. Jego zamiarem były studia prawnicze na Uniwersytecie Jagiellońskim, jednak tam wymagane były opłaty czesnego, a na taki wysiłek finansowy nie było Go stać. Natomiast



Bolesław w mundurku szkolnym gimnazjalnym - 1924 r.

Pedagogium było uczelnią bezpłatną. Przez cały okres studiów sam się utrzymywał, głównie udzielając korepetycji (...).

W 1938 r. już pracując, rozpoczął studia na wydziale prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego. Studia te przerwała wojna. Po wojnie, zaliczony do klasy „zapłutych karłów reakcji”, studiów prawniczych nie mógł kontynuować.



Bolesław Mężyk (1913-1992)

Po ukończeniu Pedagogium, przez okres około pół roku nie mógł znaleźć pracy. Były to czasy permanentnego kryzysu gospodarczego. Wobec pogarszających się stosunków z Niemcami i perspektywą wojny, rząd wydał rozporządzenie, że wszyscy oficerowie rezerwy muszą otrzymać pracę. Dzięki temu od 10 stycznia 1938 r. rozpoczął pracę nauczyciela i równocześnie kierownika w Publicznej Szkole Powszechnej w Kaninie w powiecie limanowskim (...). Zamieszkał w budynku szkolnym wydzierżawionym przez gminę od Stanisława Górki. W budynku tym oprócz mieszkania znajdowała się sala, w której odbywały się zajęcia szkolne czterech klas (...).

W sierpniu 1939 r. w okresie wakacji, Tato przebywał w Czernichowie na kursie teatralnym dla nauczycieli. 24 sierpnia 1939 r. goniec dostarczył Mu powołanie do czynnej służby wojskowej w 16. Pułku Piechoty Ziemi Tarnowskiej w Tarnowie (tajna mobilizacja). W pułku tym otrzymał stanowisko dowódcy 1. plutonu, 1. kompanii w 1. batalionie. Pułk wchodził w skład 6. Dywizji Piechoty dowodzonej przez gen. Bernarda Monda, natomiast dywizja była częścią Armii Kraków dowodzonej przez gen. Antoniego Szyllinga. ►





Absolwenci Gimnazjum im. Kazimierza Brodzińskiego w Tarnobrzegu, Bolesław Mężyk stoi piąty z prawej

Według książki Jerzego Rostowskiego „Rozkaz – zapomnieć” 16. Pułk Piechoty Ziemi Tarnobrzegskiej należał do najlepszych jednostek w kampanii wrześniowej 1939 roku. 6 Dywizja Piechoty rozlokowana została na głównej linii obrony na zachód od Pszczyny. Jej zadaniem wraz z całą armią była obrona Śląska i Krakowa (...).

Pierwszego września 1939 r. o godzinie piątej rozpoczął się zmasowany atak niemieckich bombowców na pozycje 6. Dywizji Piechoty. W trakcie tego ataku bardzo wielu żołnierzy zostało zabitych i rannych (...).

Po działaniach w pierwszych dniach września i nieustannych starciach z nacierającą niemiecką 5. Dywizją Pancerną. 6. Dywizja Piechoty została praktycznie rozbita, a pogruchotane, lecz częściowo ocalałe pododdziały łączyły się w improwizowane grupy bojowe prowadząc dalszą walkę (...) (*Dalszy ciąg oryginału biografii zawiera opis ciężkich walk cofających się pod naporem przeważających sił agresora niemieckiego, oddziału WP w kierunku wschodnim aż do Brzuchowic – 6 km od Lwowa – przyp. MP.*)

Tam była „Polska Republika”, bowiem zmasowana była duża ilość wojska polskiego, a zwłaszcza ciężkiej artylerii, która nad głowami zgrupowanych żołnierzy strzelała na niemieckie pozycje otaczające Lwów oraz na wojska niemieckie posuwające się od strony zachodniej i południowej.

W Brzuchowicach był dzień odpoczynku, żołnierze mogli się wymyć, trochę przespać, lecz nie mieli się w co przebrać, aby zmienić brudne i poszarpane mundury. Mając chwilę czasu, ojciec udał się do miejscowego fryzjera, gdzie

ogolił się i ostrzygł sobie włosy do goła, bowiem z brudu dokuczały Mu wszy. Tam też dotarła wiadomość, że Sowieci napadli od wschodu na Polskę i przekroczyli granicę.

Przewidując, że może się dostać w ręce Rosjan spalił swoją książeczkę oficerską. Na płaszczu nie miał dystynkcji, bowiem jego płaszcz zaginał wraz z taborami, a żołnierze „zorganizowali” Mu płaszcz z przypadkowego wozu taborowego. Jak się później okazało strzyżenie, a także brak dystynkcji uratowały Ojca przed Katyniem (...).

20 września jednostka wojskowa, w której był Ojciec ze swoim plutonem, dostała rozkaz uderzenia i przebiecia się do Lwowa, aby wzmocnić obronę miasta. W trakcie szturmowania został ranny w głowę,



Ppor. Bolesław Mężyk z kolegą z okresu ćwiczeń wojskowych - 1938 rok.

ale kontynuował walkę. Następnego dnia wczesnym rankiem od strony wschodniej Lwowa atakujące oddziały polskie zobaczyły we mgle na rozległych łąkach wielkie oddziały kawalerii z ustawionymi na przyległych ścierniskach karabinami maszynowymi (...).

Ponieważ był rozkaz o nie podejmowaniu walki z wojskiem sowieckim oraz wobec druzgocącej ich przewagi uznano za stosowne, że należy się poddać. Rozpoczęło się składanie broni oraz lornetek. Potem uformowano żołnierzy w czwórki i rozpoczął się pochód w kierunku wschodnim. Oficerami zaopiekowano się specjalnie i oddzielono ich od żołnierzy. Ponieważ Ojciec nie miał na mundurze żadnych dystynkcji i miał ostrzyżoną głowę, więc nie podejrzewano że jest oficerem, jakkolwiek nie miał spracowanych rąk (...).

*Dalszy ciąg biografii obejmuje szczęśliwą ucieczkę Bolesława Mężyka z pędzonej przez Sowieców na wschód kolumny polskich jeńców (casus mojego Ojca Franciszka) oraz dramatyczne przedzieranie się wraz z drugim uciekinierem w przeciwnym kierunku na zachód, pechowe ujęcie do następnej niewoli, tym razem niemieckiej po nieświadomym przekroczeniu utworzonej już i strzeżonej linii demarkacyjnej sowiecko – niemieckiej w okolicach Niemirowa (maszerowali w obdartych polskich mundurach wojskowych) i ponownej ucieczce, tym razem z transportu kolejowego do obozu jeńców wojennych III Rzeszy – przyp. MP.*

W kolejnym wydaniu „Echa Limanowskiego”, opisane zostaną dalsze dzieje Bolesława Mężyka w latach okupacji.

**Opracował: Marek Pankiewicz – na podstawie biografii Bolesława Mężyka, napisanej przez syna Mirosława.**

**Fotografie: arch. rodziny Mężyków**

*Redakcja „Echa Limanowskiego” składa serdeczne podziękowania Panu Mirosławowi Mężykowi za udostępnienie do publikacji fragmentów biografii ojca Bolesława Mężyka, osoby wielce zasłużonej dla Limanowej, a szczególnie dla jej historycznej dzielnicy Sowliny.*

*Osobiście dziękuję szkolnemu koledze „sowliniokowi” Mirkowi, za okazane zaufanie i pomoc przy opracowaniu udostępnionych materiałów do publikacji. Starłem się jak najwierniej zachować formę oryginału, pomijając jedynie fragmenty zdarzeń i nazwiska uczestniczących w nich osób, które szczególnie w czasach okupacji, jak również po zakończeniu wojny wyróżniły się niegodnym zachowaniem – Marek Pankiewicz.*



# Dwie homilie

Niniejszym prezentujemy Naszym Czytelnikom słowo pasterskie ks. bp. Józefa Życińskiego, wygłoszone 16 maja 1993 r. podczas konsekracji kościoła w Limanowej-Sowlinach, a poniżej homilię ks. prał. Karola Dziubaczki, wygłoszoną po 25 latach, w dniu 16 maja 2018 roku.

## Homilia ks. bp. Józefa Życińskiego

*Orędzie pełne zatroskania  
o dziedzictwo chrześcijańskie naszej Ojczyzny*

**Drodzy Bracia i Siostry!** W dniu tak radosnym dla nas Chrystus Pan kieruje do nas Ewangelię, słowa nadziei i pociechy. Nie bójcie się! Są pewne bolesne zjawiska, które rodzą ból i niepokój duszy, ale nie będziecie sierotami. On nieustannie przychodzi, On przysła Ducha Świętego – Pocieszyciela, w Nim możemy trwać i przetrwać najtrudniejsze doświadczenia. I te słowa pociechy i nadziei w szczególny sposób kierowane są do tych, którzy przez tyle lat swoje marzenia i swój wysiłek złączyli z budową tej świątyni, którzy w tamte lata absurdu i przemocy, kiedy usiłowano dekretować tzw. światopogląd naukowy i robić [tyle] absurdalnych statystyk, wtedy dawali wyraz swej tęsknoty za Chrystusem i u Niego szukali mocy.

Dziś Wam Wszystkim chcę gorąco podziękować za tamte lata wysiłków i solidarnego zatroskania o Boże sprawy. Moja modlitwa i moja wdzięczność są dziś z Wami, by uszanować Wasz pot, wysiłek i troskę i Wasze zjednoczenie z ks. kanonikiem Janem w konsekwentnej budowie tej świątyni. W budowie nie tylko widzialnego Kościoła, ale tego niewidzialnego, który jednoczy nas wokół Chrystusa i każe nam trwać w Jego łasce. O tym, że ten niewidzialny Kościół wzrastał przez te lata, mówią liczne świadectwa. Nie będę niedyskretny, jeśli Wam powiem, że prowadząc rozmowy z alumnami Wyższego Seminarium, często zadają im pytanie o to, co ich skłoniło do wyboru Seminarium Duchownego, co rozwijało ich marzenia o kapłaństwie. Podczas takich rozmów chyba od dwóch, jeśli nie od trzech kandydatów, przygotowujących się do kapłaństwa w naszym seminarium, usłyszałem odpowiedź: Proszę ks. Biskupa, ja mogłem patrzeć na kapłaństwo ks. kanonika Bukowca. Widziałem w Jego kulturze i w Jego dobroci, w Jego głębokim życiu modlitewnym i w Jego poświęceniu dla sprawy Bożej, model życia, który mnie pociągał i fascynował i dlatego trafiłem tutaj. I to jest też powód do wielkiej wdzięczności dla ks. Jana i dla tych wszystkich kapłanów, którzy uświęcają się w podobnym stylu, aby Kościół mógł wzrastać, aby Chrystus trwał wśród nas. I cóż więcej mogę dziś powiedzieć niż proste dziękuję, dla Was i dla ks. kanonika. Gdybym cośkolwiek chciał więcej zrobić w tej chwili – powiedzmy – żeby uszanować ks. Jana i przeniósłbym Go na prestiżową, dużą, wiejską parafię, to skrzywdziłbym i Was i Jego. Nieprawda? No właśnie, więc już rozstrzygacie i ucinacie pewne możliwości działania. Sądzę, że Chrystus Pan ma wiele form wyrażania swojej bliskości i swojej miłości wobec Tych, którzy Go miłują. I dziś te nasze życzenia i ta moja wdzięczność niech



Ks. bp. Józef Życiński

stanie się modlitwą i niech stanie się wyrazem zatroskania o to, by ten Kościół wzrastał dalej w Waszych duszach, po to, by spełniły się Chrystusowe słowa i aby Duch Święty przychodził do Was nieustannie, abyście nie czuli się nigdy sierotami, zagubionymi, miażdżonymi przez życie, niewidzącymi celu. Niestety, dramat współczesnego świata przejawia się w tym, że bardzo często ci, którzy są sierotami nadrabiają miną i twierdzą, że czują się znakomicie i że wszyscy powinni się tak czuć. Jakże często współczesny człowiek, zagubiony, rozdarty, pełen niepokojów, nie ma odwagi nazwać po imieniu swojego bólu, swojej samotności, grzechu, odrzucenia Boga. I słyszymy tylko ciągle piękne deklaracje, że XXI wiek będzie lepszy, że nowe nurty po upadku marksizmu przyniosą automatycznie szczęście, wyzwolenie i dobrobyt. A my wiemy, że to wcale nie jest takie łatwe, bo człowiek zawsze nosi w swej duszy piętno grzechu pierworodnego. Bo to piętno, które w przeszłości pchało go do kolaboracji z reżimem komunistycznym, będzie ciągle skłaniać go do nowych, niemoralnych działań. I powstanie nowa generacja karierowiczów, którzy swej kariery będą szukać znów na niemoralnej drodze. I powstanie perspektywa życiowa, w której pieniądz będzie ważniejszy od człowieka. Generacja ambitnych nowobogackich, niestety, bardzo często będzie tak zapatrzona w siebie, że już nie dostrzeże ludzkiego cierpienia, ludzkiej biedy, tylko swój własny egoizm będzie wynosić na piedestał. I dlatego właśnie, abyśmy nie zostali sierotami, zagubionymi wśród głośnych deklaracji, tutaj musimy przychodzić, by trwać w Nim, by odnajdywać siłę do przewycięzania codziennych smutków, rozterek i niepokojów, by krytycznie przyjmować najpiękniejsze deklaracje mówców zapowiadających proste rozwiązania. Ile razy słyszę w radiu czy czytam w prasie, że liberalizm i zjednoczenie rodziny ludzkiej automatycznie rozwiąże wszystkie bolączki, przypominają mi się słowa Lwa Trockiego, wypowiedziane w 1924 r. Wierząc w marksizm, ten zwolennik terroru, głosił wtedy marksizm w służbie nowego człowieka mądrzejszego, sprawiedliwszego, ►





W czasie konsekracji kościoła w Sowlinach - 1993 rok. Siedzą od lewej: ks. Jan Bukowiec - proboszcz parafii, ks. Władysław Ryś - inicjator budowy kaplicy katechetycznej w Sowlinach, ks. Karol Dziubaczka - kanclerz kurii tarnowskiej, ks. bp Józef Życieński - ordynariusz tarnowski, o. Hubert Kostrzański - opat szczyrzycki, ks. Józef Poręba - dziekan limanowski.

► wyzwolonego. Kiedy zapanuje na świecie komunizm, wszyscy ludzie będą tak mądrzy jak Arystoteles, wszyscy będą równie wrażliwi jak Goethe. Już wtedy autor tych słów rywalizował ze Stalinem w walce o władzę. Wkrótce, kilkanaście lat później zginął z rąk terrorysty stalinowskiego. Ale jeszcze obecnie nazwisko Trockiego w wielu krajach Europy Zachodniej jest symbolem dla terrorystów, którzy podkładają bomby w sklepach, mówiąc, że trzeba walczyć ze społeczeństwem burżuazyjnym w imię nowego, lepszego porządku.

Piękne słowa demagogów niosą łzy i przelew niewinnej krwi. I my widzimy to w Europie, gdzie tyle pięknych haseł. Mówi się o wspólnym, europejskim domu, a równocześnie na Bałkanach tworzy się obozy koncentracyjne, przyjmuje się tortury i gwałt jako normalną drogę rozwiązywania konfliktów etnicznych i większość krajów milczy albo podejmuje symboliczne działania, aby wyciszyć sumienie. To nie ze słów rodzi się sprawiedliwszy świat. My chrześcijanie wiemy, że natura ludzka, skażona grzechem pierwotnym, potrzebuje pomocy łaski Bożej. Jeśli braknie pomocy tej łaski, rozdarcie naszej natury, nasza słabość jest tak wielka, że nie poradzimy sobie sami. Łudzić się, że bez łaski Bożej zbudujemy piękny, sprawiedliwy świat, to złudzenie bardzo wielkie. To tak jakby chory wierzył, że rak rozwijający się w jego organizmie ulegnie samodestrukcji, sam zniszczy siebie i on automatycznie wróci do zdrowia. Jest to pewna postać optymizmu, która czasem, ale rzadko, w pojedynczym życiu może okazać się potwierdzona, ale nie w życiu całego społeczeństwa. My, którzy nosimy w sobie piętno skazy i pęknięcie grzechu, widzimy, jak różni się ta Polska naszych marzeń od Polski dzisiejszego dnia, w której tak wiele konfliktów, tak wiele ambicji, tak wiele niesprawiedliwości. I biskupi formułują pewien program w swoim ostatnim orędziu o wartościach chrześcijańskich. [Ta lekcja] wynika z bolesnej świadomości tego, iż marksizm zdewastował dusze ludzkie,

że od dewastacji ekonomii nie mniejsza jest dewastacja kultury, dewastacja psychiki. Nie możemy więc nadrabiać miną i powtarzać slogany, że jakaś jedna partia nas wyzwoli, że jakiś genialny polityk uzdrowi wszystko z dnia na dzień. My już tyle słyszeliśmy pięknych przemówień. Tej choroby nie leczy się przy pomocy kolejnych przemówień. Tu trzeba wysiłku i samozaparć. I dlatego właśnie Chrystus Pan wzywa nas do postawy wiernej duchowi Nazaretu i Jego posłannictwo Nazaretu uczy nas tak wiele. W czasach, kiedy Jezus chodził po ziemi, różne grupy faryzeuszów, saduceuszów, zelotów rywalizowały ze sobą w walce o wpływ. Jedni podkreślali swoją wierność tradycji, drudzy swoją mądrość, zeloci głosili proste hasła, żeby ciąć i nie przejmować się. I wiemy, że nikt z nich nie uratował Izraela. Zbawienie przyszło w stajence Betlejemskiej nocy, zbawienie przyszło z małego miasteczka na prowincji, z Nazaretu. Chrystus Pan nie brał udziału w walce o władzę, a ci którzy w Niego wierzyli nie obnosili swoich ambicji i swojej pychy, ale żyli na co dzień wierni swoim przekonaniom, wierni swoim zasadom. [...] My wierzymy, że nowa Europa Ducha wzrasta jak ziarno gorczycy. Nie tam, gdzie pełno fleszów i kamer telewizyjnych, ale właśnie w rodzinach, w codziennym samozaparciu, w waszym wysiłku, Wasze odciski na rękach, Wasz pot, Wasza troska o dzieci, Wasza wierność Bogu i troska o sprawy Boże są przejawem tej pięknej Europy ducha, która kiełkuje w sercach wielu ludzi nie szukających rozgłosu, nie stwarzających szumu wokół swoich pozorowanych działań. I kiedy patrzyłem na Wasze pogodne twarze, widziałem życzliwość, którą można było wyczytać już w pierwszych sekundach po obejściu Waszą wspólnotę. Wtedy wzrastała we mnie nadzieja, że ten Kościół jutra będzie wzrastał nie tylko dzięki wnoszonym świątynom, ale dzięki Waszym pięknym duszom. I właśnie dlatego kierujemy do społeczeństwa, do wszystkich ludzi dobrej woli, zatroskanych o przyszłość Polski, tamto orędzie pełne





W czasie konsekracji kościoła. Ówczesny wygląd głównego ołtarza

zatraskania o dziedzictwo chrześcijańskie naszej Ojczyzny. Wśród krytyków tego orędzia znalazłem zarzut: biskupi przemawiają do serc, ale równocześnie rzucają kamienie, bo zawarli w orędziu zdanie, że wśród moralizatorów i krytyków Kościoła jest bardzo dużo osób, które w przeszłości były służalcze wobec władz. Autor ubolewa czy wypomina [...] i twierdzi, że Chrystus był bardziej wielkoduszny wobec Marii Magdaleny. Jednak mała uwaga – Moi Kochani – [że] Maria Magdalena nie rezerwowała dla siebie roli odnowicielki moralnej. Mocno pretensjonalnie wyglądałoby, gdyby wtedy podczas pierwszego spotkania z Chrystusem Panem zaczęła występować w roli moralistki i ubolewać nad zepsuciem etycznym Izraela. Ona milczała świadoma swojej słabości i swego grzechu. Ci, którzy wczoraj byli poza reformami, dziś nie potrafią milczeć, ale chcą bardzo często resztę społeczeństwa uczyć europejskich manier; wczoraj byli awangardą proletariatu, dziś są awangardą nowej Europy. [...] Chrystus Pan powiedział do Magdaleny: *Idź i nie grzesz więcej!* On nie powiedział: Dobrze jest, nie ma o czym mówić, drobiazg, uśmiechnij się. Grzech nazwał grzechem. Zobowiązał ją do pewnego postępowania, gdzie nie będzie grzechu. [...] Kościół nie chce dzielić społeczeństwa na sprawiedliwych i winnych, my wiemy, jak płynne są to granice. Ale Kościół nie chce, abyśmy cierpieli na zanik pamięci, abyśmy zapomnieli o tym smutnym dziedzictwie, które zgotowano naszemu narodowi, karmiąc sloganami o sprawiedliwym i pięknym ustroju. I w imię wierności historii, a nie po to, by jąrzyć, zwracamy uwagę, że obowiązuje nas pamięć o dniu wczorajszym, byśmy

mogli budować piękniejszy i sensowniejszy świat. Przy budowie niejednokrotnie będziecie właśnie obsypywani kamieniami, ośmieszani, uznawani za nienowoczesnych. [...]

Ostatnio słyszy się o ustawie antyaborcyjnej i o nauczaniu religii w szkole. Czy to znaczy, że księża mają przestać uczyć? Wygodniej byłoby przecież temu księdzu wykorzystać wolne 20-kilka godzin w tygodniu niż gratisowo uczyć religii w szkole. Ale on chce być z dziećmi i z młodzieżą. Nie chce dopuszczać do tego, żeby w ich świadomości zapanowała pustka. Gdzie więc jest tutaj przestępstwo? To jest spełnianie jego obowiązków, które powierzył mu Chrystus, mówiąc: *Idźcie i nauczajcie!* Czy wierność nakazom Chrystusa jest wyrazem tęsknoty za rządem? Czy ksiądz może rozmyć V-przykazanie i powiedzieć: No owszem, nie zabijaj, ale w pewnych sytuacjach... Nie mówmy o tym. To była zdrada Ewangelii. Czy więc wierność Ewangelii jest oznaką dążenia do władzy? I kiedy nie potrafi się podać konkretnych przykładów, bardzo często usiłuje się ośmieszyć i tych, i to, co chrześcijańskie i to co ewangeliczne. I widzimy pełno stylowych programów przygotowanych przez osoby, które w przeszłości znane były z koniunkturalizmu i z usłużności wobec władzy, a dziś chcą reformować Kościół. I tutaj ze smutkiem stwierdzam, że goście z Zachodu bywają w Polsce bardzo często zaszokowani tym, co usiłuje się nam przedstawiać jako przejaw nowoczesności i europejskości, a co jest w istocie prymitywną karykaturą; chorobą, przez którą Europa Zachodnia już dawno przeszła. W tym tygodniu miałem gościa z Kanady i profesor wykładająca w ostatnim roku w Oksfordzie mówiła, że ani w Kanadzie, ani w Anglii nie widziała wielu równie smutnych zjawisk kulturowych, jakie w Polsce usiłuje się lansować. Dla przykładu Kanada, patrząc, jak łatwo ci, którzy mają pieniądze, usiłują całemu społeczeństwu narzucać pornografię, narkotyki czy alkoholizm, żeby robić biznes. Kanada wprowadziła wiele ustaw, których nie ma jeszcze w Polsce. W Polsce usiłuje się ośmieszać tych posłów, którzy wspomną coś o walce z pornografią. Kanadyjczycy powiedzieli: Zgoda, nie mamy definicji pornografii, nie da się jasno rozgraniczyć, co jest, a co nie jest pornografią, ale w pewnych wypadkach wiadomo, co na pewno jest. Jeśli coś jest związane z problematyką seksu, a jednocześnie propaguje przemoc, gwałt, brutalność, prymitywizm, jest to na pewno pornografią i trzeba z tym walczyć przy pomocy regulacji prawnej i te regulacje są już wprowadzone. W Kanadzie ci, którzy chcą robić biznes na sprzedaży periodyków, tygodników, przeznaczonych dla odbiorcy o niewyszukanych gustach, muszą respektować specjalne zasady, że ich kiosk nie może być zwykłym kioskiem, a owe tygodniki mogą być wykładane dopiero na wysokości bodajże metra czterdzieści, żeby dzieci nie mogły oglądać. Gdyby w Polsce ktoś zaproponował podobne regulacje, na pewno przedstawiono by go jako dewota, klerykała, naiwnego, nierozumiejącego życia. I tu właśnie istnieje szeroka dziedzina działań, gdzie nie możemy dać się oczarować pięknem sloganów, gdzie musimy odważnie dawać świadectwo naszej wiary. I tu Chrystus Pan, przychodzący do nas, chce nas umacniać, chce żebyśmy trwali w Nim, jak trwało pokolenie naszych Ojców. Chce, żebyśmy w godzinie naszej samotności nie byli sami. Duch Pocieszyciel, którego zapowiedział, przychodzi nieustannie, aby odnawiać oblicze ziemi. To nie jest tak, że świat musi iść w stronę gorszego. To nie jest tak, że kolejne przemiany będą przynosić kolejne niepokojące objawy. To prawda, że pszenica i kąkol będą wymieszane



► ze sobą aż do żniwa, że ludzie będą zawsze ludźmi i obok szlachetnych, pięknych dusz będzie w każdym czasie pełno zwyczajnych spryciarzy, którzy w każdych warunkach znajdą odpowiednio piękne hasła, żeby strzec swoich prywatnych interesów. Ale ci wierni Chrystusowi w każdych warunkach będą żyć Jego Duchem, będą dawać świadectwo Jego miłości. I ja gorąco wierzę, że ten żywy Kościół zjednoczony dzisiaj we wdzięczności dla tych, którzy wznosili tę świątynię, ten żywy Kościół będzie umacniał się, i że tutaj Wy, Wasze dzieci, Wasze wnuki i kolejne generacje będą dawać dowód Waszej wiary i tutaj szarość i niepokój, ból i z troskanie, przemienione w Chrystusową łaskę, zrodzą harmonię Waszej duszy, nadzieję piękniejszego jutra, wiarę w człowieka i to jest właśnie przedziwne promieniowanie łaski.

Józef Czapski opisuje kiedyś, jak w burzliwe dni II wojny światowej, aresztowany na terenach zajętych przez Związek Sowiecki, znalazł się w wagonie bydłowym, wysyłanym w niewiadome, w głąb Rosji. Jechali stłoczeni, karmiono ich śledziami, a potem brakowało wody do picia. Nie wiedzieli, co przyniesie jutro. Panowała beznadzieja i smutek. I kiedy kolejny ranek przyniósł nową porcję beznadziei, kiedy duszę dławiła niepewność, ktoś zaintonował w przerażonym wagonie: *Kiedy ranne wstają zorze...* Wszyscy zgromadzeni podjęli pieśń. Zorze wstawały rzeczywiście, wschodziło słońce, oni jechali w niewiadome, ale śpiewając tę pieśń czuli, że coś przemienia się w ich duszach, że jakaś nowa nadzieja rodzi się w umęczonych, ukołatanych sercach. I nagle Bóg stawał się bliski i czuli, że cokolwiek miałoby przyjść jutro, nie będą

sami, bo kolejne zorze przyniosą bliskość tego, którego czci cały wszechświat: śniegi Syberii i piaski Karagandy, ich rodzinne strony nad Wisłą i nieznaną świat, w stronę którego jechali. I jechali dalej już z duszą przemienioną.

Kochani, Wam Wszystkim, którzy projektowaliście i wznosiliście tę świątynię, którzy przyjechaliście z daleka, aby dzielić naszą radość, którzy gromadzicie się wokół ołtarza w koncelebrze wdzięczności, Wam Wszystkim, gorąco życzę, byśmy na tym nowym etapie dziejów ludzkości, kiedy przyspieszenie ogarnia całą kulturę i kiedy świat nie wytrzymuje przyspieszenia zdarzeń, byśmy gromadząc się wokół Chrystusa, przed Nim otwierając nasze serca, wypłakując nasz ból, nie czuli się nigdy sierotami, ale tu u Chrystusa odnajdywali moc ducha Pocieszyciela, który w najciemniejszym mroku działa, aby umacniać nasze serca i przemieniać ból w radość. Amen.

## Po 25 latach – Srebrny Jubileusz Konsekracji

W „Biuletynie” parafialnym [nr 19 (706) 13. 05. 2018] proboszcz ks. Tadeusz Śmierciak, zachęcając do wzięcia udziału w nabożeństwie, pisał: „Uroczystość Rocznicy Poświęcenia naszego Kościoła wypada w środę 16 maja. Jest to jubileuszowa, 25. rocznica. Pragniemy podziękować Panu Bogu za naszą świątynię, za tych, którzy na różny sposób trudzili się przy jej budowie i przez cały czas dbają o jej utrzymanie i piękno. Będziemy też prosić o błogosławieństwo dla tego świętego miejsca i całej gromadzącej się w nim Wspólnoty. Zapraszamy wszystkich na Mszę św. dziękczynną o godz. 18<sup>00</sup>. Będzie jej przewodniczył Ks. Prałat Wiesław Piotrowski, dziekan dekanatu limanowskiego, kazanie wygłosi Ks. Prałat Karol Dziubaczka. Jest to także dzień imienin Ks. Biskupa Andrzeja Jeża. Pamiętajmy w modlitwie o naszym Pasterzu”.

W dniu 16 maja 2018 r., po Nabożeństwie Majowym i adoracji Najświętszego Sakramentu, rozpoczęła się o godz. 18<sup>00</sup> w kościele w Limanowej-Sowlinach Msza Św. dziękczynna za 25 lat błogosławieństwa Bożego i zarazem błagalna o dalsze lata błogosławieństwa dla parafii i kościoła pw. św. Stanisława Kostki. Dzień był deszczowy i ponury, podobnie jak 25 lat temu, ale im bliżej nabożeństwa zaczęło się wypogadzać i deszcz przestał padać. Wchodząc do kościoła, można było zauważyć mini-wystawę fotograficzną, umieszczoną na planszy, obrazującą trud budowy kościoła, a poniżej model wzniesionej świątyni. Bliżej prezbiterium ustawiony był obraz św. Stanisława Kostki, bo to przecież patron kościoła, a rok 2018 ogłoszony został Rokiem Świętego Stanisława Kostki w 450 rocznicę jego śmierci. Przed ołtarzem widniał wizerunek śp. ks. prałata Jana Bukowca, budowniczego kościoła i pierwszego proboszcza limanowsko-sowlińskiej parafii. Na uroczystość, z rodzinnej miejscowości ks. Prałata, przybyła m.in. jego siostra, Helena Tokarz z domu Bukowiec, z Rodziną. Przybyło też wielu ludzi zasłużonych dla budowy świątyni.

Nabożeństwo rozpoczęło się pieśnią: *Boże obdarz Kościół Twój jednością i pokojem*. Słowa powitania skierował ks. Tadeusz Śmierciak – proboszcz parafii. Mówił m.in.: Gromadzimy się w 25-rocznicę konsekracji kościoła. Dzień rocznicy poświęcenia kościoła jest analogią do wspomnienia dnia przyjęcia chrztu. Przez chrzest człowiek staje się dzieckiem Bożym; przez poświęcenie świątynia staje się budynkiem przeznaczonym do wyłącznej służby Bożej. Wyrazimy dziś wdzięczność



Srebrny Jubileusz Konsekracji kościoła w Sowlinach. Od lewej: ks. Tadeusz Śmierciak - proboszcz parafii, ks. prałat Ryszard Stasik, ks. prałat dr Wiesław Piotrowski - dziekan limanowski, ks. Wojciech Reciak - rodak limanowski, ks. prałat dr Karol Dziubaczka



za dar naszej parafialnej świątyni, której rocznicę poświęcenia przeżywamy. Świątynia jest znakiem Boga i miejscem naszego z Nim spotkania. Tutaj Bóg udziela nam swoich darów: wysłuchuje modlitw, obdarza miłosierdziem i karmi Ciałem swego zmartwychwstałego Syna. Jest ta świątynia także znakiem naszej wiary i naszym wspólnym domem, gdzie spotykamy się, by wyznać wiarę i odnaleźć siebie jako Kościół – żywą świątynię Boga. W tym dniu tak ważnym cieszymy się z obecności ks. prał., dziekana Wiesława Piotrowskiego, proboszcza Macierzystej Parafii Limanowskiej, z której wywodzi się nasza parafia. Witamy i dziękujemy za przyjęcie tego zaproszenia. Dziękujemy ks. prał. Ryszardowi Stasikowi i ks. prał. Karolowi Dziubacze, wikariuszom z czasów budowy, za ich obecność. Poza intencjami – dodał ks. Proboszcz – Msza św. sprawowana będzie za Wszystkich, którzy troszczyli się o budowę tego kościoła.

Mszę św. sprawowali: ks. prał. dr Wiesław Piotrowski, dziekan limanowski, w koncelebrze wdzięczności: ks. Tadeusz Śmierciak, proboszcz, ks. prał. dr Karol Dziubaczka, ks. prał. Ryszard Stasik i ks. Wojciech Reciak, rodak limanowski. Czytaniom (1. z Ap św. Jana: 21, 1–25; 2. św. Pawła z Listu: 1 Kor 3, 10–17) towarzyszył śpiew refrenu psalmu 122: *Pójdziemy z radością do świątyni Pana*. Po nich czytana była Ewangelia według św. Jana (J 10, 22–30). HOMILIĘ wygłosił ks. prał. dr Karol Dziubaczka, zasłużony wikariusz sowliński, późniejszy kanclerz kurii tarnowskiej, współcelebrans konsekracji świątyni (EL, nr 284-285, s. 7), penitencjarz w bazylice limanowskiej, przebywający obecnie w Tarnowie.

*Budowa nowego kościoła  
to wielka łaska Boża i znak wybrania.*

**Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. Na wieki wieków Amen. Drodzy Siostry i Bracia z radością świętujący 25-rocznicę waszego parafialnego kościoła!**

Od pierwszej Mszy świętej, odprawianej w nowo wybudowanym kościele, kapłan po przygotowaniu darów ofiarnych zwraca się z prośbą do zgromadzonych wiernych: „Módlcie się, aby moją i waszą Ofiarę przyjął Bóg, Ojciec wszechmogący” – a wy odpowiadacie: „Niech Pan przyjmie ofiarę z rąk twoich na cześć i chwałę swojego imienia, a także na pożytek nasz i całego Kościoła świętego”. Przed 25 laty ta modlitwa miała specjalną wymowę – oto parafianie oddawali Panu Bogu ofiarę specjalną – dzieło rąk ludzkich, pracy, modlitwy i wielkiego wysiłku, dzięki któremu powstał ten kościół jako budynek. Nie można negować wielu lat starań, najpierw o zezwolenie na budowę a potem całego trudu budowy. Dziś jednak chce zwrócić naszą uwagę na jeszcze jeden aspekt tego wydarzenia. Budowa nowego kościoła to wielka łaska Boża i znak wybrania. Mówi nam o tym Pismo święte. Przez wiele lat Arka Przymierza nie miała stałego miejsca. Była przechowywana w namiocie. Izraelici pobudowali domy i miasta. Król Dawid zgromadził wiele materiału na budowę świątyni. I wtedy usłyszał od Boga: „*Nie ty zbudujesz dla mnie dom, w którym zamieszkać. Od dnia, w którym wyprowadziłem Izraela, aż po dzień dzisiejszy nigdy nie mieszkałem w domu, lecz przechodziłem z namiotu do namiotu i z mieszkania do mieszkania... Kiedy nadejdzie czas i odejdziesz do swoich przodków, Ja sprawię, że twój potomek zajmie twoje miejsce... On wybuduje dla Mnie dom, Ja zaś utwierdzę jego panowanie*” (1 Krn 17). Król Dawid chciał wybudować świątynię, ale wola Boga była inna. Dopiero potomek Dawida wybudował



Ekspozycja prezentująca budowę kościoła w Sowlinach. Fotografie wykonał Józef Staniszewski.

świątynię – król Salomon. Ile to domów, bloków, zakładów pracy powstało w Sowlinach po II wojnie światowej, a Pan Jezus mieszkał jak w namiocie – baraku z desek, którego wielu z obecnych tu nie widziało, bo urodzili się później. Aż przeszedł czas wybrany przez Boga i mimo wielu trudności powstał kościół z prawdziwego zdarzenia. Dziś, w rocznicę jego konsekracji, czyli oddania Bogu, zechcemy sobie uświadomić, że czas budowy to był czas szczególnej łaski Bożej. Pokolenie, które ten czas pamięta, powinno sobie postawić pytanie: jak z tą łaską współpracowali. A wszyscy dziś, stanowiący rodzinę parafialną, powinni pytać: jakie jest moje zadanie na dziś? Najprostszą jest odpowiedź: włączyć się czynnie w upiększanie Domu Bożego. Ale to nie wystarczy. Kościół to nie tylko mury. Kościół to Lud Boży. Gdyby nie było ludzi, mury kościelne byłyby niepotrzebne. Byłoby tak jak na Zachodzie – puste kościoły są burzone albo zamieniane nie tylko na muzea ale i domy rozrywki, żeby nie powiedzieć gorzej. Można by na ten temat długo mówić. Ale pozwólcie, że zwrócę waszą uwagę, iż wasz jubileusz 25-lecia konsekracji przeżywamy w 100-rocznicę odzyskania niepodległości przez naszą Ojczyznę – Polskę. Kościół wrósł w nasze ojczyste dzieje od początku. Polska była jeszcze pod zaborami, kiedy 9 stycznia 1904 r. Henryk Sienkiewicz napisał w księdze pamiątkowej Muzeum Diecezjalnego w Płocku następujące słowa: „**Kościół jest stróżem przeszłości, piastunem teraźniejszości i siewcą przyszłości.**” (Sieci 9-15. 04. 2018, s. 64). Tę prawdę trzeba sobie dziś uświadomić. Pokolenie budujących ten kościół było wychowane w zakłamanym historii naszej Ojczyzny. O wielu faktach nie można było mówić, wystarczy wspomnieć Katyń czy Żołnierzy Wyklętych – Niezłomnych. To nie kto inny tylko Prymas Tysiąclecia przypomniał wtedy, że Ojczyzna to ziemia i groby, a naród, który traci pamięć, traci życie. ►



► To Kościół od rozbitcia dzielnicowego po rozbiory był zwornikiem jedności polskiego narodu. Kto ma wątpliwości na temat roli Kościoła w naszej ojczyznej historii, niech sięgnie po cztery tomy, z wydawnictwa Biały Kruk, zatytułowane: *Kościół na straży wolności*, a przekona się, że Kościół był nie tylko stróżem ale i obrońcą naszej wolności. Myślę, że najlepszym podsumowaniem będzie przypomnienie słów św. Jana Pawła II podczas I-szej pielgrzymki do Ojczyzny. W tym roku mija 40 lat od wyboru kard. Wojtyły na Stolicę Piotrową. Mówił wtedy tak: „Nie można też bez Chrystusa zrozumieć dziejów Polski – przede wszystkim jako dziejów ludzi, którzy przeszli i przechodzą przez tę ziemię... nie sposób zrozumieć dziejów narodu polskiego – tej wielkiej tysiącletniej wspólnoty, która tak głęboko stanowi o mnie, o każdym z nas bez Chrystusa, jeśli byśmy odrzucili ten klucz dla zrozumienia naszego Narodu, narazilibyśmy się na zasadnicze nieporozumienie. Nie zrozumielibyśmy samych siebie. Nie sposób zrozumieć tego Narodu, który miał przeszłość tak wspaniałą, a zarazem tak trudną – bez Chrystusa.” A przecież od lat 90. ubiegłego wieku stosowano w polskojęzycznych, ale nie polskich mediach tzw. pedagogikę wstydu, a polityk, który został premierem pisał wcześniej, że „dla niego polskość to nienormalność.” Trzeba dodać, że to historyk z wykształcenia. Zadanie na dziś dla Kościoła żywego – dla każdego i każdej z nas – **być stróżem przeszłości**. Przekazać młodemu pokoleniu prawdę o naszej bohaterskiej i pięknej historii. Tak o niej pisze poeta w wierszu „Rodowód”: *Mieszko I przed Bogiem ugiął swe kolana/ I tym ocalił Słowian przed hordą Germanów... Król Jagiełło przed bitwą trzy msze kazał sprawić. Pod Grunwaldem zwyciężył. Pan mu błogosławił... Wódz Jan III Sobieski świątynię fundował. Zesłał mu Bóg Victorię. Tym świat uratował... Papież Jan Paweł II wstawił się za Polską. Imperium Zła pokonał, chociaż nie miał wojska. Tak to już jest w Historii, że zawsze nas zbawia Mąż pobożny i prawy, który Pana sławi. Tylko on porwie rzesze rycerzy żołnierzy, Ludzi z gminu i szlachty, co w Opatrzność wierzy.* (Lech Makowiecki, *Pro publico bono*, s. 30).

W roku 100-lecia naszej niepodległości takiej historii musimy się wszyscy uczyć, aby być dumnymi Polakami i naszą Ojczyznę kochać. Tej prawdziwej miłości uczy nas Kościół. Sienkiewicz zauważył, że **Kościół jest piastunem teraźniejszości**. Staropolskie słowo „piastun” znaczy tyle, co wychowawca. Zadaniem wychowawcy jest wprowadzenie wychowanka w świat prawdziwych wartości, dzięki którym jego życie będzie miało sens i prowadzi go do szczęścia. Moi Drodzy, człowiek, nawet dorosły, jest wychowywany nie tylko przez ludzi ale przez media, które kształtują najpierw jego myślenie a potem działanie. Pozwólcie, że znów zacytuję poetę – Lecha Makowieckiego z jego zbioru: *Pro publico bono*: „Pytają mnie rodzice, jak tu chować dzieci/ I czego ich nauczać – przydatnego w świecie. Mówią, że przestrzeganie zasad Dekalogu/ Ustawia już na starcie na przegrany program... „Szkola jest polem bitwy... Uczmy się karate!” „Pracą zarządza sitwa... Trzeba być psu bratem!” „Pomoże ci w awansie wiedza kurtyzany!” „Takoż siła przebicia... Bądźmy jak tarany!” „Brak zasad twą zasadą” – taką płacisz cenę,/ Gdy w człowieka sukcesu zechcesz się przemienić. /Lecz czy warto sumieniem czy ludziom mydlić?/ Wszak człowiekiem sukcesu często bywa bydle.../ Mądrość, miłość, rozważa, współczucie, uczciwość – To jest zbędny balast! Nam wystarcza chciwość! I konkluduje poeta: „W nocy znów mi się przysnił dziadek z ułanami./ Był

*dla mnie jak ikona. Draństwem się nie splamił. Spytałem go o radę... Starzec podniósł głowę/ I ze zdziwieniem słuchał mej pokrętej mowy./ „Dziesięć przykazań znasz – rzekł. – Trzeba wytrwać przy nich./ Bronić ich. Nawet siłą. Jak Jezus w świątyni. A jeśli cham w buciorach święte prawdy depta,/ Traktuj go tak, jak chama. Albo jak powietrze...” Pytają mnie rodzice: „Jak dzieci wychować?” A wy macie czas dla nich? Słowa, słowa, słowa...”* (Lech Makowiecki, op. cit. s. 51–52). To nie są słowa księdza, ale człowieka świeckiego, zatroskanego o polskie dziś. Więc tylko pytanie do każdego piastuna czyli wychowawcy: czas dajesz swoim dzieciom – czas, przykład życia i drogowskaz, czyli Dekalog, te Dziesięć Przykazań, na których, jak na skale, można budować życie jednostki, rodziny i Narodu. I jeszcze jedno. Wiem, że za długo, ale na następny jubileusz trzeba czekać 25 lat (a ja na pewno nie wygłoszę już na nim kazania – dodał ks. Prałat).

Sienkiewicz pisze, że **Kościół jest siewcą przyszłości**. Przyszłość ma podwójny wymiar – doczesny i wieczny. Już św. Jan Paweł II zwrócił uwagę, że w dzisiejszym świecie rozpowszechniona jest „kultura śmierci”. Tam, gdzie śmierć, tam nie ma przyszłości, nie ma jutra. Czarne marsze to są marsze śmierci. Aborcja, eutanazja, antykoncepcja, pornografia i przemoc to wszystko prowadzi do śmierci. A Kościół przypomina Boskie „**Nie zabijaj!**” Kościół broni życia doczesnego, a przykazanie miłości każe kochać każde życie. Troska i obrona życia ludzkiego to troska o przyszłość. Ale człowiek myślący pyta: Co po śmierci? Pytanie zasadnicze. Kościół odpowiada słowami Chrystusa: „Uroczyście zapewniam was: Ten, kto wierzy, ma życie wieczne. Ja jestem chlebem życia... Ktokolwiek będzie spożywał ten chleb, będzie żył na wieki” (J 6, 47–51). Zmartwychwstały Chrystus jest gwarantem naszej wieczności i to wieczności szczęśliwej. Moi Drodzy, wybudowaliście z Ks. Prałatem Janem Bukowcem kościół materialny. Budujcie teraz Kościół żywy dla szczęścia tu na ziemi a kiedyś szczęścia wiecznego. Amen (Dziękuję wraz z Redakcją „Echa Limanowskiego” ks. dr. Karolowi Dziubacze za udostępnienie tekstu homilii).

Podczas Mszy św. modlono się za projektantów, budowniczych, dobroczyńców tej świątyni (tych żyjących i tych, którzy już odeszli), przede wszystkim za śp. ks. prał. Jana Bukowca. Pod koniec nabożeństwa głos zabrał ks. Tadeusz Śmierciak, proboszcz parafii, mówiąc m.in.: Prawdziwie jest to dom Boży, bo Bóg tu mieszka i dlatego dziękując Panu Bogu, prosimy, by zawsze był z nami. Ks. Proboszcz podziękował ks. prał. dziekanowi Wiesławowi Piotrowskiemu za przewodniczenie Mszy św., a ks. prał. Ryszardowi Stasikowi i ks. Wojciechowi Reciakowi – Naszemu Rodakowi – jak powiedział – za koncelebrawę oraz kaznodziei ks. prał. Karolowi Dziubacze za budujące Słowo Boże, życząc Mu zdrowia.

Po słowie podziękowania ks. proboszcza Tadeusza Śmierciaka i słowie dziekana ks. prał. Wiesława Piotrowskiego, nabożeństwo Srebrnego Jubileuszu konsekracji kościoła w Limanowej-Sowlinach zakończyło się udzieleniem przez kapłanów Błogosławieństwa Bożego. Na zakończenie zgromadzeni odśpiewali uroczyście hymn kościelny: *Boże Coś Polskę...*, prosząc Opatrzność o błogosławieństwo dla parafii, kościoła i Ojczyzny całej.

Przygotował i opracował: Józef Szymon Wroński  
Fotografie: arch. „Echa Limanowskiego”, Stanisław Ociepka





Na pierwszym planie Kamieniec widoczny znad torów kolejowych od strony ulicy Leśnej - przełom lat 40. i 50. XX wieku

# Kamieniec mojego dzieciństwa

Tomasz Jan Biedroń

**Kiedy wracam myślami do krainy mojego dzieciństwa, które spędziłem na Kamieńcu, wówczas myślę o nim, jak o raju utraconym. Był to bowiem czas bez trosk zabaw, dziecięcej wolności, nie martwienia się o jutro, stanowiące troskę rodziców. Ale to właśnie z Kamieńcem wiążą się moje wspomnienia z radosnego dzieciństwa, dorastania, zawiązywania przyjaźni z kolegami, które przetrwały próbę czasu. Dzisiaj po upływie wielu lat z nostalgią spoglądam na swoją przeszłość „przez różowe okulary”, na miniony czas, chwile z dzieciństwa i dorastania, będące kalendarzem moich wspomnień.**

Geograficznie Kamieniec obejmował: na wschodzie obszar po tamę koło Marcinkiewicza na potoku Mordarka, po ulicę MBB i obrzeża rynku, aż po tory kolejowe; na zachodzie, po szkołę podstawową i po most drogowy obok starej poczty, aż po kamienicę kolejową. Na całym tym obszarze Kamieniec przecinał na pół potok Mordarka, spięty czterema przeparami: mostem pod kinem „Sojusz”, mostkiem zwanym przez mieszkańców ławą – u wylotu ulicy Rzecznej (Kilińskiego) do ulicy Wąskiej, kładką wis a wis ulicy Zielonej i wspomnianym już mostem koło starej poczty. W dni powszednie potok Mordarka płynął leniwe po bokach obsadzony akacjami pięknie kwitnącymi wiosną w kolorze bieli, tworzącymi swego rodzaju aleję z drzew od mostu pod kinem do mostu obok starej poczty. I to właśnie potok Mordarka stanowił główną atrakcję i niejako centrum naszych zabaw i wakacyjnego spędzania czasu.

Z okien Molówki, gdzie mieszkaliśmy w dni świąteczne mogłem oglądać ludzi maszerujących na bosaka, zza gór, z Sarczyna i Kopciówki, którzy, aby nie pobrudzić butów nieśli je związane sznurówkami, przerzucone na ramieniu. Po schodkach koło ławy schodzili

do potoku Mordarka, myli nogi, wkładali skarpetki i buty a następnie szli do kościoła. Obraz ten utkwił mi do dzisiaj w pamięci, gdy pomyślę, jakie kocie łby musieli pokonać, błoto i nierówności

terenu, ostre kamienie, drogę przez las, aby w końcu dojść do „miasta”, jak to się wtedy mówiło.

W niedzielę palmową niesiono palmy ubrane w kolorowe wstążki i sztuczne kwiaty. Niektóre palmy z racji swojej długości niosło kilku chłopców, aby w końcu móc je wnieść do kościoła i postawić w pionie. Falowały obok siebie w górze, prawie dotykając sklepienia kościoła.

W dniu poświęcenia ognia widziałem jak chłopcy szli z żarzącymi się hubami, przytwierdzonymi do drutów, którymi cały czas obracali, żeby ogień nie zgasł. ►



Potok Mordarka przecinający Kamieniec na dwie części, południową i północną, które łączyła kładka przy ulicy Rzecznej (obecnie ul. Kilińskiego). Wzdłuż potoku aleja akacji (robini).





Basen kąpielowy obok placu (z lewej) „Sokoła”. Początek lat 50. XX wieku

► Sam byłem świadkiem, jak w kościele urwała się żarzająca się huba i uderzyła w ścianę. Z obawy przed nieszczęściem i zaproszeniem ognia ksiądz Kowalski na początku lat 60 zlikwidował ten zwyczaj. Jeszcze na początku lat 60-tych kontynuowano tradycję palenia sobótki. Na obecnej ulicy Leśnej przed przejazdem kolejowym zbierali się mieszkańcy, układano stos z gałęzi przywleczonych z lasu. Ja też brałem udział w wyprawie po gałęzie do lasu. W czasie palenia sobótki śpiewano różne pieśni. Zwyczaj ten również skasowano prawdopodobnie z obawy, aby wiatr nie przeniósł ognia na drewnianą w większości zabudowę Kamieńca.

Ława będąca łącznikiem dosłownie i w przenośni, niejako spinaczem obu części Kamieńca, odgrywała u nas chłopców ważną rolę, podobnie jak i potok Mordarka, bo łączyła nas mieszkających po obu stronach potoku. Na ławie stawaliśmy zaraz po burzy obserwując, jak leniwy potok Mordarka stawał się niebezpiecznym i groźnym żywiołem, jak skłębione oszalałe bałwany niosły

z sobą drzewa, krzewy, domowe ptactwo i co tylko po drodze woda zdołała porwać. Za moich czasów, gdy zamieszkiwałem na Kamieńcu ławę dwa lub trzy razy zabrała woda. Szybko ją odbudowywano, bo była ważnym połączeniem południa miasta z północą jego częścią. W lecie w korycie potoku Mordarka łapaliśmy drobne szczelble, masowo występujące, czasami trafiliśmy na większą rybę, brzanę, a nawet raka. Zresztą wypuszczaliśmy je niedługo po złapaniu. Woda była wówczas czysta i niezatruta. Pod mostem koło starej poczty łowiliśmy ryby na wędkę, którą naprędce sporządzaliśmy. Za wędzisko służyła nam ścięta gałąź leszczyny, do niej przytwierdzaliśmy żyłkę, ciężarek i spławik oraz haczyk. Przynęty było pod dostatkiem w pobliżu. Czasami poza brzaną udało się nam złowić jelca.

W zimie na fragmentach potoku skutego lodem jeździliśmy na łyżwach, podobnie jak na basenie pod mostem, obok kina lub na basenie obok ulicy Zielonej. Na tymże basenie wczesną wiosną pływaliliśmy na krze, z której niejedną raz

wpadłem do lodowatej wody. Po lekcjach w „jedynce” stawaliśmy przy basenie i obserwowaliśmy pływających kolegów na krze, czekając, aż przyjdzie nasza kolej. Przez kilka lat w okresie zimowym pod Glazurą funkcjonowała ślizgawka, na której jeździliśmy na czym się dało, na butach, tornistrach, siedzeniu, deskach, miednicach, a nawet sankach. W dni świąteczne zjeździliśmy na sankach spod torów kolejowych na ul. Leśnej, a nawet z miejsc jeszcze wyżej położonych.

Kamieniec ożywał szczególnie w okresie bożonarodzeniowym. Wiezorami można było napotkać licznych kolędników. Pamiętam kolędników chodzących z szopką z ruchomymi postaciami, odgrywających narodziny Jezusa, kolędników przebranych za diabła, turonia, anioła i króla Heroda z podświetloną obracającą się gwiazdą oraz zespoły kolędnicze grające na licznych instrumentach i śpiewających kolędy. Przypominam sobie również zespół cygański, pięknie grający kolędy, ze słuchu, który mój ojciec Jan poprosił o zagranie kilku kolęd





Ulica Zielona, widok w kierunku Chłopskiej Góry



Ulica Rzeczna (obecnie ul. Kilińskiego). Po prawej stronie widoczny fragment budynku „Metalówki”, dawniej garbarni

urzeczony pięknem ich wykonania. W Sokole wystawiano jasełka gromadzące licznych mieszkańców. Pamiętam też choinkę przystrojoną przez Romana Mola, na której wisiały pomarańcze, czekolady, cukierki i żarówki 60-tki, bowiem nie było jeszcze w powszechnym użyciu oświetlenia choinkowego. Szczególnie utkwił w mojej pamięci moment, w którym pozwolił mi zerwać z choinki pomarańczę. Warto podkreślić, że był to wówczas towar deficytowy, dostępny jedynie w okresie świąt Bożego Narodzenia lub niekiedy Wielkanocy.

Kamieniec, zwłaszcza jego wschodnia część, stanowił niejako cały świat mojego dzieciństwa i dorastania. W wakacje chodziliśmy się kąpać do basenu powyżej mostu obok kina, gdzie woda była głębsza i prawie stała w miejscu. Wśród porośniętych po obu stronach potoku Mordarka szuwarach w wodzie zimnej, wręcz lodowatej, zażywaliśmy kąpeli. Po wyjściu na brzeg, dygocząc z zimna ciupaliśmy namiętnie w karcięta, mocno sfatygowaną talią w przysłowiowego „zechcyka” no i w: król, minister, chłop i gapa. Los gapy nie był wesoły, musiał królowi nie tylko dawać wybrane karty, ale i papierosy, a nawet dzielić się posiłkiem, jeżeli takowy posiadał, zaś

pozostałych graczy również częstować. Czasami zapuszczaliśmy się na tamę pod Marcinkiewicza, gdzie można się było kąpać w słońcu, bo teren nie był tam zarośnięty, chlapać w wodzie i opalać. Nieopodal w ogrodzie dojrzewały w słońcu jabłka, które nas bardzo kusily, wręcz hipnotyzowały, zniewalając nas swoim widokiem, niekiedy z moich kolegów ulegali ich czarowi, podkradali się, by móc je zerwać, co spotykało się z protestem czujnego właściciela sadu. Wówczas nie pozostawało kolegom nic innego jak tylko salwować się ucieczką.

Przez kilka lat z rządu Roman Mól i Władysław Nawalaniec, będący barwną postacią Kamieńca, wspomagani przez innych mieszkańców Limanowej za pomocą grubych desek tzw. fosztów grodzili pod mostem koło kina wylot basenu do koryta potoku „Mordarka”. Przez długie lata u ujścia potoku po obu stronach widniały stalowe szyny, stanowiące oparcie dla tamy. Ludzie mieszkający na Kamieńcu mieli wówczas frajdę, zażywając kąpeli w basenie. Niestety, po kilku razach zaprzestano grodzienia basenu, ponieważ częste burze i towarzyszący im wielki deszcz-ulewa, powodowały występowanie wody z koryta, która zabierała tamy.

Najwięcej atrakcji mieliśmy na placu pod Sokolem, gdzie grywaliśmy namiętnie w piłkę przez całe wakacje, a także popołudniami wiosną i jesienią po wyjściu ze szkoły. Z grą w piłkę wiązało się wiele niedogodności. Przede wszystkim tylko nieliczni posiadali skórzaną piłkę, co dawało im ogromny atut, bowiem występowali w roli zawodnika, kapitana drużyny i sędziego jednocześnie. Jeden z naszych kolegów posiadał piłkę skórzaną, sznurowaną rzemieniem, mającą kształt elipsy. Rolę posiadacza piłki wykorzystywał maksymalnie. Dyktował skład drużyny, wybierał najlepszych zawodników, na czele których stawał, decydował o tym czy należy uznać gola, czy też nie, a karny którego dyktował był wręcz niewykonalny, bowiem zmniejszał bramkę do takich rozmiarów, że nawet przysłowiowa mysz miałaby trudności z przecięnięciem się, a co dopiero piłka. Na nasze oburzenie brał piłkę pod pachę mówiąc: nie podobna się? – to idę do domu. Nie mieliśmy wyjścia i musieliśmy go tolerować, zwłaszcza, że na nasypie siedziało kilku naszych kolegów chętnych do zastąpienia któregośkolwiek z nas, gdyby ktoś z nas zrezygnował. Uderzenie piłki, zwłaszcza od strony sznurowanej było bardzo bolesne i pozostawiało piekący ślad. ►



W trakcie zarządzanej przez niego przerwy w grze, siadaliśmy na skraju placu, w cieniu rosnących tam drzew, gdzie odpoczywaliśmy. Pytał nas, kto ma papierosa? Wybierał do palenia najlepszą markę. Kiedyś zapytałem go, jaka marka smakuje mu najbardziej, bez wahania odpowiedział: cudzesy. Miał on talent do zapamiętywania licznych wierszyków i rymowanek, a znał ich bez liku, tych świńskich również, którymi raczył nas obficie w trakcie przerwy w grze. Później, kiedy wyprowadził się do innej części miasta już na plac pod Sokołem więcej nie przychodził, został zastąpiony przez kolegę z klasy, który posiadał prawdziwą piłkę do gry w nogę. Mieszkał w pobliżu, więc każdą chwilę wolną spędzał na placu, często graliśmy razem. W razie zajęcia placu przez innych graczy przenosiliśmy się na targowicę, gdzie kopaliśmy w piłkę do woli.

W dni targowe, w godzinach południowych, udawaliśmy się na plac na targowicy, gdzie w zagrodzie stały sprzedane oczekujące na transport konie. Staraliśmy się dosiąść koni i poczuć się niczym kowboje na dzikim zachodzie. Czasami udało nam się pobyć przez chwilę na końskim grzbiecie, a niektórym z nas nawet trochę na nich pojeździć. Niestety, było to okupione licznymi upadkami, bo konie nie zawsze chciały nas gościć na swoich grzbietach. Spoceni i ubrudzeni myśleliśmy w potoku Mordarka, ewentualnie kąpaliśmy się w basenie.

W czasie gry pod Sokołem wykopana mocno piłka niejednokrotnie lądowała w korycie potoku. Należało szybko biec, by jak najszybciej złapać piłkę, aby woda nie uniosła jej w dół rzeki. Było to bardzo niebezpieczne zwłaszcza po burzy, kiedy potok przybierał, zamieniając się w rwący i niszczący żywioł, a woda w oczach rosła, sięgając do wierzchołka koryta. Swego czasu zdarzyło się, że starszy kolega poleciał po piłkę, chciał ją złapać, sięgnął po nią, przechylił się i został zabrany przez rwącą burzową wodę. Niesionego przez falę zauważył z ławy mój wujek śp. Wojciech zmierzający do domu. Szybko zszedł po schodkach złapał niesionego przez wodę kolegę, lecz i jego również porwała woda. Kurtka którą miał na sobie szybko nabrała wody i nie mógł się już samodzielnie wydostać z koryta potoku. Na szczęście za mostem koło starej poczty, w basenie został wyciągnięty przez ludzi z wody wraz z kolegą, którego do końca nie wypuścił z rąk.

Za ten akt wielkiej odwagi, został odznaczony, otrzymał medal w święto 22 lipca wręczony mu w trakcie akademii w kinie „Sojusz”.

Przez kilka lat w zachodniej stronie placu pod Sokołem funkcjonowała kręgielnia obsługiwana przez mieszkającego w pobliżu Władysława Nawalańca, będąca pewnego rodzaju rozrywką dla mieszkańców Limanowej. Przyglądaliśmy się grającym w kręgle, licząc, że zostaniemy zaangażowani do stawiania kręgli, za co otrzymywaliśmy kilka złotych w sam raz na bilet do kina. Mnie też udało się raz a może dwa stawiać kręgle. Kręgielnia nie remontowana, popadła z czasem w zapomnienie i uległa całkowitemu zniszczeniu. Nigdy już jej nie odbudowano. Obok postawiono dwa słupy, zaciągnięto siatkę i w pogodne dni grano w siatkówkę. Kilka razy udało się i nam zagrać w siatkówkę. Największym naszym marzeniem było pójście do kina. Staraliśmy się zdobyć pieniądze na bilet u rodziców, sprzedając butelki lub wykonując proste zlecane prace, za które otrzymywaliśmy pieniądze. Szczytem powodzenia cieszyły się westerny, które staraliśmy się wszystkie obejrzeć.

U wspomnianego Władysława Nawalańca MPGK w Limanowej miało swoją bazę, trzymało tam wpięć parę koni i wozy służące do transportu. Na początku lat 60-tych zostały zastąpione przez traktor Ursus z dwoma przyczepami. Warto podkreślić, że drogi wokół potoku Mordarka nie były utwardzone. Odcinek od małego rynku do ławy na potoku Mordarka został pokryty asfaltem dopiero w 1961 albo 62 roku. Po deszczu droga do kina, czy „jedyńki” tonęła w błocie, na dodatek była rozjeżdżana przez furmanki zmierzające w poniedziałki na targowicę, tworzące głębokie koleiny wypełnione wodą. Droga do szkoły w deszczowe dni była dla nas nie lada wyzwaniem, staraliśmy się ominąć błoto, głębokie koleiny i kałuże z wodą. Z kolei w lecie, gdy było sucho wiatr wzniesiał tumany kurzu wdzierające się wszędzie.

Z traktorem wiąże się moje traumatyczne wspomnienie. Swego czasu moja mama wysłała mnie na zakupy do sklepu w rynku. Przechodząc przez ławę, zauważyłem jadący z bazy u Nawalańca traktor z dwoma przyczepami, zmierzający w tym samym kierunku. Szybko podjąłem decyzję i uczepliłem się ostatniej przyczepy. Nagle w połowie ulicy traktor zahamował, ja upadłem na ulicę.

Z niewiadomych mi przyczyn traktor zaczął cofać się, a ja znalazłem się pod przyczepami. Zanim zdołałem pojąć, co się stało, byłem już między pierwszą przyczepą a traktorem. Kierowca wówczas mnie zauważył, zatrzymał się i mocno przestraszył, ja wówczas wyczołgałem się spod traktora i uciekłem. Nigdy więcej nie czepiałem się już jadącego pojazdu, bo mogło to się skończyć tragicznie.

Przed szkołą zawodową zwaną przez nas metalówką czasem chcieliśmy sobie pograć w piłkę, ale woźny Baczyński nas przeganiał, mówiąc, że zakłócamy spokój lub, że możemy wybić szybę w oknach, które nie były zakratowane. Na tyłach metalówki od strony potoku Mordarka miały miejsce zbiórki zuchów, którym się przyglądaliśmy. Dużo atrakcji miało miejsce w święto 1 maja, gdy młodzież z zawodówki posiadająca rowery zbierała się przed szkołą, strojąc koła swoich rowerów kolorowymi pociętymi w paski marszczonymi bibułami, co okraszało nieco szarżynę siermiężnego socjalizmu. Dla nas chłopców była to wielka frajda warta uwagi, gdyż można było zobaczyć całą gamę różnokolorowych kół rowerów, jadących w pochodzie pierwszomajowym. Po zakończeniu pochodu posiadacze „kolorowych” rowerów pozwalali niektórym z nas pojeździć na swoich kolorowych rowerach.

Dalej na zachód Kamieńca znajdowała się „jedyńka”, do której uczęszczałem, pobierając pierwsze nauki. Kilka razy próbowaliśmy pograć w piłkę na placu wokół jedynki, która była ogrodzona siatką. W godzinach popołudniowych szkoła była zamknięta i woźny Jan Wójcik mieszkający na zapleczu szkoły wyganiał nas z podwórza. Nie było jeszcze sali gimnastycznej, a plac wokół szkoły był duży i wyżyrowany w sam raz do naszych zabaw i gry w piłkę. Na części placu przylegającej do potoku Mordarka rosły duże drzewa. Niestety, byliśmy wypraszani, ponieważ nie pilnowani mogliśmy zrobić sobie krzywdę lub wybić szybę w oknie szkoły. Pozostawał zatem do naszej dyspozycji jedynie plac pod Sokołem lub plac targowy.

Z „jedyńką” również wiąże się wiele moich przeżyć związanych z dorastaniem, ale jest to już temat na odrębne wspomnienia.

**Fotografie: arch. albumu  
„Okruchy pamięci”**





# Nieznane Skarby Muzeum Parafialnego, czyli V Spacer Historyczny po Limanowej

Karol Wojtas

W niedzielne popołudnie 27 maja 2018 roku odbył się V Spacer Historyczny po Limanowej. Tematem piątej edycji spaceru były „Nieznane Skarby Muzeum Parafialnego”. Jak zawsze wydarzenie to cieszyło się dużym zainteresowaniem limanowian i przybyłych gości, którzy chcieli poznać historię oraz zabytki naszego miasta i parafii. Muzeum Parafialne, choć istnieje od 30 lat jest mało znane przez mieszkańców Limanowej i Ziemi Limanowskiej. Wiele osób, które przybyły na wydarzenie twierdziło, że są pierwszy raz w tym muzeum. Kilkudziesięcioosobową grupę uczestników spaceru oprowadził historyk Karol Wojtas.

Uczestnicy V Spaceru Historycznego po Limanowej rozpoczęli zwiedzanie od jednej z sal w Domu Katechetycznym, gdzie na ścianach umieszczone są archiwalne fotografie przedstawiające budowę limanowskiej bazyliki oraz drugi drewniany kościół parafialny. Zdjęcia te pierwszy raz zostały pokazane publicznie na wystawie z okazji 90. rocznicy odzyskania przez Polskę niepodległości 10 lat temu w Miejskiej Bibliotece Publicznej. Autorem większości tych fotografii jest Klementyna Zubrzycka – Bączkowska. Archiwalne fotografie zostały przekazane

w listopadzie 2008 roku parafii Matki Boskiej Bolesnej w Limanowej przez zespół redakcji Albumów „Okruchy Pamięci”. Po obejrzeniu zdjęć uczestnicy spaceru przeszli do Domu Pielgrzyma, w którym znajduje się Muzeum Parafialne. Po wejściu do budynku zwiedzający najpierw zobaczyli umieszczone na klatce schodowej obrazy autorstwa sądeckich artystów Marii Ritter i Czesława Lenczowskiego. Dwa obrazy autorstwa Marii Ritter pierwotnie stanowiły zasłonę Piety limanowskiej w ołtarzu we wnętrzu świątyni parafialnej. Znajdowały się

tam od momentu przebudowy ołtarza głównego przed koronacją Piety w 1966 roku do czasu kradzieży korony w maju 1981 roku. Po kradzieży korony i rekonstrukcji figury Matki Boskiej Bolesnej w 1983 roku zastąpiono obrazy te płytą z brązu i szybą. Pierwszy obraz ukazuje Maryję przed Trójcą Świętą, drugi zaś Chrystusa Ukrzyżowanego. Na jednym z nich widać ślad po przecięciu zrobionym przez złodzieja. Na korytarzu Domu Pielgrzyma uczestnicy zobaczyli także obraz autorstwa malarki Ewy Harsdorf z Nowego Sącza przedstawiający transatlantyk „Batory” na morzu. Obraz ten przekazał do Muzeum Parafialnego kapitan żeglugi wielkiej Leopold Kucharczyk. Następnie wszyscy przeszli do wnętrza Sali Misteriów. W sali tej uczestnicy zobaczyli osiem obrazów przedstawiających najważniejsze wydarzenia z dziejów parafii, a prowadzący spacer przybliżył pokrótce historię parafii limanowskiej ►



► i kultu Matki Boskiej Limanowskiej. W sali także znajduje się między innymi obraz przedstawiający św. Stanisława Kostkę namalowany przez Czesława Lenczowskiego. Obraz ten dawniej znajdował się w ołtarzu głównym w tymczasowej drewnianej kaplicy w Sowlinach. Potwierdzili to niektórzy z uczestników spaceru. Następnie wszyscy przeszli do wnętrza sali ekspozycyjnej muzeum na parterze. Tam pośród gablot omówione zostały najważniejsze eksponaty.

W głównej gablocie uczestnicy spaceru mogli zobaczyć eksponaty związane z kultem Matki Boskiej Limanowskiej oraz pamiątki po biskupie Piotrze Bednarczyku. Znajduje się tam kilkanaście płaszczyków, które zakładane są na Pietę limanowską. Płaszczyki te uszyła pochodząca z Limanowej karmelitanka siostra Bogumiła Jabrucka. Są także w tej gablocie eksponaty związane z poprzednią świątynią parafialną, takie jak: chorągiew procesyjna z XVIII wieku z wizerunkiem Piety limanowskiej, osiemnastowieczna sukienka z materiału przeznaczona na zaginiony obraz Matki Boskiej Różańcowej, czy paschał z drugiego kościoła. W kolejnej gablocie znajdują się między innymi pamiątki związane z papieżem Janem Pawłem II. Jest tam między innymi różaniec używany przez Jana Pawła II. W gablocie tej znajdują się także medale związane z pontyfikatem papieża Polaka. W jednej z kolejnych gablot zgromadzono starodruki pochodzące z cennego zasobu biblioteki parafialnej. Oprócz starodruków są także w gablocie reprinty wybranych ważnych dzieł dla kultury polskiej np. reprint kroniki „Chronica Polonorum” Macieja Miechowity, czy także faksymile tekstu Konstytucji Trzeciego Maja przekazane do muzeum w jej 200. rocznicę. W kolejnej z kilku gablot znajdują się pamiątki po księdzu pułkowniku Józefie Jońcu, takie jak: medale i odznaczenia, mundur, legitymacje i dokumenty, czy także jego zapiski i rysunki. W następnej gablocie znajdują się pamiątki po ministrze spraw zagranicznych II RP Józefie Becku przekazane biskupowi Piotrowi Bednarczykowi przez jego syna Andrzeja Becka. Są tam także pamiątki po rodzinie Marsów np. Order „Polonia Restituta” Zygmunta Marsa.

W muzeum znajdują się także pamiątki związane z trudnymi losami limanowian podczas I oraz II wojny światowej. Są pamiątki z niemieckich obozów



Ulica Krakowska (obecnie Jana Pawła II) na początku XX wieku. Obraz olejny Franciszka Mrażka



Obraz olejny Czesława Lenczowskiego ukazujący zdarzenie przed kapliczką w Mordarce



Obraz olejny Wincentego Gawrona. Ksiądz Kazimierz Łazarski prowadzi limanowian oraz żołnierzy I i II wojny światowej do Chrystusa





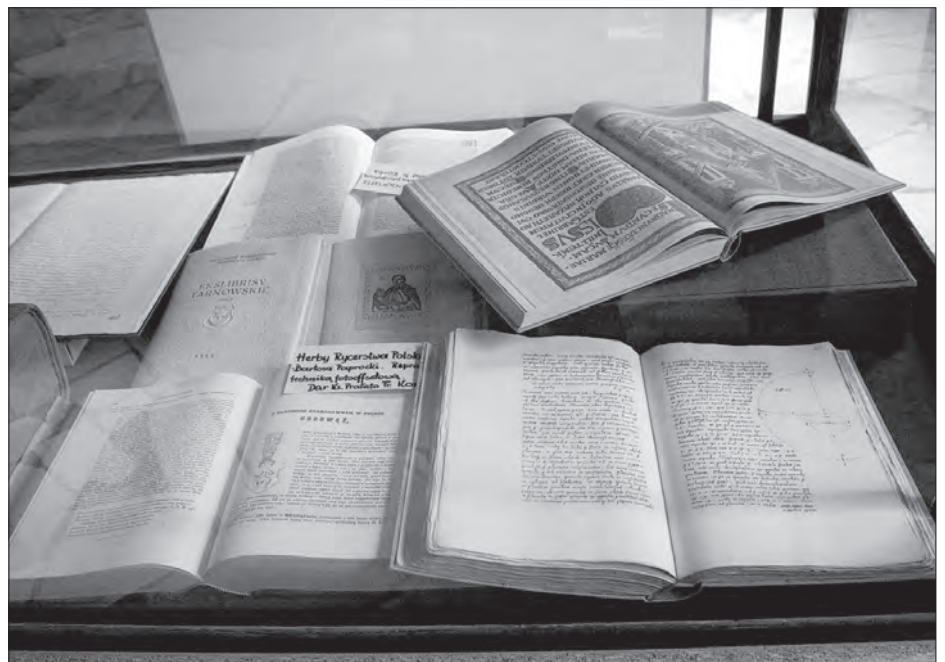
Obrazy Marii Ritter: Maryja przed Trójcą Świętą oraz Chrystus Ukrzyżowany. W dolnym prawym rogu obrazu Trójcy Świętej widoczne nacięcia płótna dokonane przez złodzieja



Obraz olejny Ewy Hasdorf przedstawiający transatlantyk „Batory” na pełnym morzu. Obraz ten przekazany został do muzeum przez kapitana żeglugi wielkiej Leopolda Kucharczyka

koncentracyjnych oraz sowieckich łagrów. Cennym eksponatem jest list Jana Romualda Ptaka z obozu w Kozielsku do matki w Limanowej. List ten jest datowany na rok 1940. Jest też np. różaniec wykonany z papierowego worka na cement.

Różaniec ten w niemieckim obozie zrobiła Anna Maniowska, która jako członek ZWZ – AK, pracując na limanowskiej poczcie, wyłapywała listy z donosami. Została aresztowana po donosie. Są także



W jednej z gablot znajdują się starodruki i reprinty starych ksiąg.

pamiętki z bliższych nam czasów, takie, jak np. rzeźby z mydła i chleba wykonane w obozie internowanych w stanie wojennym w Załężu. W muzeum znajdują się także pamiątki związane z bitwą limanowską. Na ścianach sali ekspozycyjnej znajdują się obrazy ukazujące wydarzenia z historii Limanowej i parafii limanowskiej namalowane przez Czesława Lenczowskiego i ks. prof. Władysława Świdra. W muzeum znajdują się także stacje drogi krzyżowej pochodzące z drugiego kościoła limanowskiego. Na ścianach są też obrazy artystów limanowskich: Franciszka Mraźka, Maksymiliana Brożka, Wincentego Gawrona, Tadeusza Ociepki, Piotra Kwita, Mariana Borzemskiego, Szczepana Szubryta. W dwóch gablotach znajdują się figury z XVIII i XIX wieku pochodzące z przydrożnych kapliczek Ziemi Limanowskiej. W muzeum są także eksponowane liczne numizmaty, militaria, judaika, eksponaty geologiczne oraz różne pamiątki po wielu znanych limanowianach.

Na koniec spaceru uczestnicy zadawali liczne pytania dotyczące szczegółów z historii parafii limanowskiej oraz dotyczące poszczególnych eksponatów w muzeum. Nie sposób w kilkudziesięciu zdaniach przybliżyć czytelnikom Echa całego zasobu muzeum. Zasób ten jest bardzo bogaty i różnorodny. Każdy, kto interesuje się historią naszego miasta, powinien choć raz zobaczyć to muzeum. ▶



## Historia Muzeum Parafialnego w Limanowej

Muzeum Parafialne powstało w 1988 roku z inicjatywy ks. biskupa Piotra Bednarczyka i ks. prałata Józefa Poręby. Oficjalne jego otwarcie i poświęcenie nastąpiło 3 listopada 1988 roku. Pierwsze eksponaty były już gromadzone na długo przed powstaniem samego muzeum. Już w latach 50. i 60. XX wieku ks. Ludwik Kowalski gromadził różne pamiątki związane z kultem Matki Boskiej Limanowskiej oraz związane z historią parafii. Przed koronacją w 1966 roku ks. Ludwik Kowalski i ks. Piotr Bednarczyk poprosili sądeckiego artystę malarza Czesława Lenczowskiego o namalowanie kilku obrazów ukazujących dzieje kultu Matki Boskiej Limanowskiej. Podczas uroczystości koronacyjnych w 1966 roku na plebanii urządzono wystawę dotyczącą historii kultu Piety oraz historii parafii i miasta. W późniejszym okresie ks. Ludwik Kowalski a później ks. Józef Poręba zbierali stare obrazy i figury z likwidowanych bądź przebudowywanych kapliczek przydrożnych z terenu Ziemi Limanowskiej. Także ważni goście odwiedzający limanowskie sanktuarium zostawiali przez lata ciekawe pamiątki, które trafiały do zbiorów muzeum. Część eksponatów sztuki ludowej oraz przedmiotów codziennego użytku z dawnych lat przekazali parafii Wincenty Gawron i Walenty Gawron. Znaczną część zasobu muzeum stanowią numizmaty i dzieła sztuki, które zbierał biskup Piotr Bednarczyk. Darczyńcami muzeum byli także księża Jan Rachwał i Władysław Ślęk Oprócz tego pojedyncze dzieła sztuki i swoje pamiątki ofiarowywali do tego muzeum przez lata zwykli limanowianie. Także misjonarze pochodzący z naszego regionu ofiarowali tu pamiątki z krajów Afryki i Ameryki Południowej. Obecnie sala ekspozycyjna nie mieści już wszystkich eksponatów. Część najnowszych nabytków muzeum niestety nie jest eksponowana z powodu braku miejsca. Trzeba mieć nadzieję, że w najbliższych latach muzeum zyska większą powierzchnię ekspozycyjną, a część eksponatów zyska nowe gabloty umożliwiające lepsze ich prezentowanie.

Kolejny Spacer Historyczny po Limanowej odbędzie się w lipcu.

**Organizatorzy Spacerów Historycznych po Limanowej składają podziękowania księdzu prałatowi doktorowi Wiesławowi Piotrowskiemu – kustoszowi sanktuarium za możliwość zorganizowania spaceru po Muzeum Parafialnym.**



W czasie zwiedzania



### Opis fotografia ze str. 34-35

Fot. 1 - Ekspozycja w sali Domu Katechetycznego reprodukcji fotografii z budowy limanowskiego kościoła autorstwa Klementyny Zubrzyckiej.

Fot. 2 - Zwiedzającym zaprezentowano obrazy Marii Ritter, które stanowiły zasłonę Piety umieszczonej w głównym ołtarzu limanowskiego kościoła przed kradzieżą korony w 1981 roku.

Fot. 3 - Uczestnicy spaceru w Sali Misteriów. Na sklepieniu tej sali umocowano osiem obrazów, na których artysta zaprezentował własną wizję dziejów limanowskiej parafii.

Fot. 4 i 5 - Zwiedzający przed gablotami z eksponatami we wnętrzu sali Muzeum Parafialnego w Limanowej.



# ORGANIZACJA PRZYJĘĆ OKOLICZNOŚCIOWYCH

**Siwy Brzeg**

Restauracja Siwy Brzeg  
Limanowa, ul. Br. Czecha 4

tel. 18 3373 878

[www.siwybrzeg.pl](http://www.siwybrzeg.pl)



**NIE BACZĄC NA REMONT**  
Limanowskiego Domu Kultury  
Restauracja **SIWY BRZEG**  
Ma się dobrze!

**ZAPRASZAMY**  
do nowych estetycznych sal w których organizujemy:  
wesela, bankiety, przyjęcia okolicznościowe i inne

Pyszne jedzenie  
Dania na zamówienie  
**CATERING**



Restauracja Stary Browar  
Limanowa, ul. J. Marka 9

tel. 18 337 9999

[www.starybrowar.siwybrzeg.pl](http://www.starybrowar.siwybrzeg.pl)



*Zapraszamy!*





Fot. 1



Fot. 2



Fot. 4





Fot. 3

# V Spacer Historyczny po Limanowej

## Nieznane Skarby Muzeum Parafialnego

Opis fotografii na stronie 32

Fotografie: Stanisław Ociepka



Fot. 5





Producent Środków Czystości  
od 1991 roku

golddrop.eu



**Polecamy się  
do expresowych porządków!**

Gold Drop Sp. z o.o., ul. Rzečna 11d, 34-600 Limanowa,  
tel. 18 3376137





Od soli i wilgoci włosy układają się w najmodniejsze wzory

Filip Sułkowski

# Wyprawa Too-tiki

## Część II: Z Wysp Kanaryjskich na Wyspy Zielonego Przylądka

*Poniższy artykuł jest kontynuacją relacji z atlantyckiego rejsu „najprawdopodobniej najkrótszego polskiego jachtu” (a w każdym razie bardzo krótkiego), rozpoczętej w poprzednim numerze „Echa Limanowskiego”.*

W nocy wiatr zgasł. Wpłynęliśmy w cień Teneryfy i jej ogromnego szczytu. Pas ciszy, wedle prognoz meteo, miał ►

Jak już pisałem, wypłynęliśmy z La Gomery 18 stycznia Roku Pańskiego 2018. Pogoda tego dnia była soczyście słoneczna. Wiało idealnie z północy, a prognozy zapowiadały stałe warunki przez co najmniej kilka dni. Przed wypłynięciem wzięliśmy ostatni prysznic, oddaliśmy w bosmanacie kartę wstępu do łazienki i zaraz po czternastej oddaliśmy cumy. Silnik zaterkotał i powoli, z wysiłkiem, wypęziliśmy na wody zatoczki. Iwona postawiła przednie żagle i zmieniła mnie przy sterze. Humory mieliśmy szampańskie. Do wieczora płynęliśmy miło wzdłuż wschodniego wybrzeża La Gomery, podziwiając piękne klify i ledwie maźnięte zieloną doliny. Minął nas niemiecki jacht i potem już nikogo nie widzieliśmy.



Too Tiki i jej szalupka - czterometrowy gumowy kajak (marina w Mindelo)



► się ciągnąć przez kilkadziesiąt mil, niemal pokrywając się z naszym kursem. Gwiazdy schowały się za lekką warstwą chmur i w zupełnych ciemnościach telepaliliśmy się denerwująco na martwej fali. Samoster przy braku wiatru zupełnie przestał działać. W pewnym momencie, próbując złapać resztki wiatru, straciłem w ciemnościach orientację i kręciłem się w kółko. Po długiej wiązance brzydkich słów na temat żeglowania, wiatru, nocy i tym podobnych poddałem się i zapuściłem silnik. Mieliliśmy sporo paliwa, około 20 litrów i spokojnie mogłem przeznaczyć część, żeby wyrwać się z ciszy. Tym razem choroba morska przyszła szybko i szybko odeszła. Już drugiego dnia trzymaliśmy fason i z nonszalancją zażeraliśmy się gumowym chlebem tostowym z masłem orzechowym.

Z dnia na dzień wiatr się rozkręcał. Najpierw delikatnie zaczął popychać nas od rufy, by następnego dnia odkręcić trochę na burtę. Dotąd płynęliśmy na przednich żaglach, ale wiatr aż prosił się o postawienie głównego żagla – grotu. Wiedzieliśmy, że na całej „szmacie” łódka będzie trudno sterowna. Przy pełnym ożaglowaniu środek oporu bocznego przesunął się mocno do tyłu i łódka mocno wrywała się pod wiatr. Kontrowanie sterem i utrzymanie Tootiki na kursie było dość wyczerpujące, więc skróciliśmy główny żagiel o jedną trzecią. Siły na sterze zmalały do akceptowalnych, ale nie na tyle, żeby Iwona w miarę komfortowo mogła sterować.

Zaczęła się najpiękniejsza jazda. Tootiki szybowała wprost po grzbietach fal. Długi bom od grotu wystawał mocno poza burtę i jego koniec raz za razem kreślił linie na wodzie. Chwilami płynęliśmy z prędkością 6-7 węzłów i towarzyszyło temu cudowne uczucie ślizgu, niemal jak na sankach.

Tymczasem prognozy nadsyłane z domu nie były dobre. Od Kanarów szedł front, a z nim silne wiatry osiągnące do 40 węzłów. Wedle nomenklatury żeglarskiej jest to silny wiatr/sztorm. Sztab Krajowy zalecał unikanie kontaktu z wrogiem i udanie się na z góry upatrzone pozycje. Innymi słowy mamy uciekać na południe-południowy wschód, bliżej Afryki. Po krótkiej naradzie z Iwoną uznaliśmy, że płyniemy na Cabo Verde. Spróbujemy tam wyregulować samoster, a poza tym jeśli nie teraz, to nigdy już tam nie będziemy. Dziób Too-tiki obrócił się zatem o 20 stopni na południe.



Kurtuazyjna wizyta podróżników z Podróży z Pazurem i załogi słynnego Polonusa



Latająca rybka. To maleństwo musiało przyfrunąć niezauważenie na pokład którejś z nocy na oceanie. Iwona znalazła je już w porcie, wysuszone na wiór

Zrzuciliśmy grot, który za bardzo przeszkadzał przy pełnym wietrze i zaczęliśmy czekać na sztorm. Wiedzieliśmy, że całkowicie przed nim nie uciekniemy.

Wiatr zaczął tężeć szóstego dnia od wypłynięcia z San Sebastian. Rozwiewał się wolno i dostojnie. Za rufą zaczęły się tworzyć wały wody. Wszystko co niepotrzebne przy sterowaniu zniknęło w bakistach, resztę przywiązaliśmy linkami. Wiało. Fale zaczęły się piętrzyć i osiągały na oko 4-5 metrów. Na szczęście był dzień i było jasno. Dopóki wiatr się wzmagał, fale były wysokie, ale łagodne. Jednak z chwilą, gdy wiatr słabnął, zaczynały się robić grzywacze. Jeden z nich załamał się niemal na naszej rufie i do kokpitu wlało się od tyłu sporo wody. Kląłem w żywy kamień. Z braku lepszej odzieży, płynąłem w swoim starym sztormiaku piankowym. Sztormiak, wypełniony cienką warstwą lekkiej pianki, jest w stanie utrzymać na powierzchni swojego właściciela. Ponadto, dzięki izolacji z pianki,

zapobiega wychłodzeniu organizmu w wodzie. O ile blisko równika prędkiej bym się rozpuścił w wodzie, niż wyziębił, to już na takim Bałtyku człowiek może się wychłodzić po kilkunastu minutach, nawet w lecie. Wielkim minusem tego typu odzieży jest jej ciężar. O ile nie pływasz właśnie w sztormie stulecia za kołem polarnym w noc sylwestrową, nie da się w nim za długo wytrzymać. Wysuszenie mokrego sztormiaka na naszej łódce to koszmar. Prawdopodobnie szybciej by nam poszło osuszenie Morza Martwego za pomocą chusteczek do nosa, niż sztormiaków w kabinie Tootiki. Powód jest prozaiczny – ciężko jest coś wysuszyć w miejscu przypominającym bęben pralki, w wilgotności 100%. Drobinki soli odkładające się przy parowaniu działają jak gąbka, wchłaniając każdą możliwą wilgoć z powietrza. Raz zmoczone ubranie nie wyschnie aż do porządnego prania w słodkiej wodzie.

Ostatecznie najedliśmy się więcej





Ulica targowa między mariną a rynkiem w Mindelo. Można tu kupić głównie latające ryby, banany i grillowane udka z kurczaka



Niewielkie łodzie rybackie na São Vicente. Ryby są tu głównym i najtańszym źródłem białka zwierzęcego

strachu, niż było to warte. Koło trzeciej po południu (czasu UTC) wiatr wyraźnie zmałał, a do wieczora wrócił do swojej stałej skali. Mieliśmy dużo szczęścia, że wiało tak krótko i w świetle dziennym. W nocy byłoby zdecydowanie mniej sympatycznie. Niemniej GPS podał dla tego dnia maksymalną prędkość 14 węzłów przy zjeździe na fali!

Do Cabo Verde mieliśmy około 3 dni. Zaczął nam doskwierać brak snu. Do samosteru straciliśmy resztki szacunku. Wieczorem zdecydowaliśmy się na mały eksperyment. Zostawiliśmy przednie żagle jak były i ustawiliśmy znów samoster. Dla zwiększenia stabilności kursu wyrzuciliśmy od rufy około 40 metrów liny. Lina miała działać jak dryfkotwa i utrzymywać łódkę rufą do fali, w razie gdyby samoster znów zwariował. Sprawdziliśmy kurs – łódka płynęła nieco zbyt na Afrykę, ale w granicach przyzwoitości. Wpełzliśmy do kabiny, zdjęliśmy mokre ciuchy i wpełzliśmy

pod wilgotne śpiwory. Dla bezpieczeństwa włączyliśmy AIS, który miał nas ostrzec przed ewentualnym statkiem, choć szanse na takie spotkanie były nikłe. Od wypłynięcia z Kanarów nie widzieliśmy nikogo.

Spaliśmy bite 6 godzin. Na komunikatorze satelitarnym czekała nas wiadomość od mojego starszego brata Bartka, który śledząc nas na aplikacji Garmina zaniepokoił się naszym kursem i znacznym spadkiem prędkości (Garmin to komunikator, który poza dostarczaniem sms'ów wysyła też co 10 minut pozycję łódki, wraz z prędkością i kursem). W nocy Too-tiki niestety ustawiła się bokiem do fali i raczej dryfowaliśmy, niż żeglłowaliśmy. Tyle dobrego, że w dobrym kierunku.

Ponieważ straciliśmy sporo czasu na spanie, cały następny dzień próbowałem wyciągnąć ile się da z beczułkowatego kadłuba i nadrobić stracony na spanie czas. Wieczorem, zdemoralizowani

wygodami spania w przytulnej kabince, powtórzyliśmy operację z poprzedniego dnia. Tym razem jednak na końcu liny przywiązałem dryfkotwę, rodzaj spadochronu z mocnego materiału. Dryfkotwy używa się zazwyczaj w sztormach na mniejszych jachtach. Ustawia ona łódkę prostopadle do fali, dzięki czemu fali trudniej jest wyrzucić łódkę. Przygotowując się do operacji, zauważyłem coś dziwnego. Lina dryfkotwy, kiedy ją rozplątywałem, zaczęła świecić zielonkawą poświatą. To plankton - miliony drobnych stworzonek osiedliło się na linie podczas nocnego moczenia i teraz, przy każdym ruchu, świeciły zaniepokojone zmianami warunków w miejscu zamieszkania. Noc, podobnie jak poprzednia, minęła spokojnie. O ile nie liczyć faktu, że nad ranem dryfkotwa w jakiś szatański sposób się złożyła i łódka znów ustawiła się bokiem do fali.

Do wysp Cabo Verde zostało nam półtora dnia. Nie mogłem doczekać się już wyjścia na ląd, zjedzenia czegoś ciepłego i kufelka piwa. Iwona odwrotnie – im bliżej do brzegu, tym bardziej wzbierały się w niej pokłady buddyjskiej cierpliwości. Ostatnia noc była dość niekomfortowa. Nie chciałem przedłużać rejsu i miałem wielką chęć stanąć obiema nogami na lądzie. Warowałem więc przy rumplu przez całą noc, walcząc z samosterem, sprawdzając pozycję na GPS-ie i próbując uciąć sobie drzemkę na zwojach mokrych lin.

Nad ranem pojawiły się Wyspy. Najpierw jako plama na tle zimnego, szarego nieba. Nic o nich nie wiedzieliśmy, niczego nie sprawdziliśmy. Żaden „plan B” nie zakładał dotarcia tutaj. W mglistych wyobrażeniach przedstawiałem je sobie jako mieszankę Karaibów i Afryki z folderów turystycznych. Tymczasem z każdą godziną ukazywał się nam widok zgoła odmienny.

Archipelag Cabo Verde okazał się grupą skał na oceanie. Jak to stwierdził mój kumpel-żeglarz, który już tam był: „Kupa piasku na środku oceanu zamieszkała przez wiecznie wkurzonych Murzynów, którzy muszą tam siedzieć”.

Po konsultacji satelitarnej zdecydowaliśmy się płynąć do Mindelo, 70-tysięcznego miasta na wyspie São Vicente, drugiego co do wielkości miasta na całych Wyspach Zielonego Przylądka. Powodów było kilka, ale najważniejsze to: wielkość metropolii i związana z tym szansa na naprawę samosteru, fakt, że znajomi



► tam już byli i mogli służyć radą oraz położenie. Mindelo jest ostatnim portem na zachód od Afryki, to zatem dobre miejsce na rozpoczęcie kolejnego etapu rejsu, już w pasatach.

Nasz cel leżał w kanale między dwoma wyspami, *São Vicente* i *Santo Antão*. Żegluga nim była dość nieprzyjemna. Wiatr co prawda był umiarkowany, ale prądy i wiatr wypychały wody oceanu w wąskie gardło, wzbudzając falę nieproporcjonalną do ich siły. Telepiąc się na fali, oglądaliśmy ze zgrozą poszarpane, skaliste brzegi wyspy i tony wody rozbijające się na nich z furją.

Wreszcie, po 12 dniach od opuszczenia Wysp Kanaryjskich, wpłynęliśmy do zatoki, nad którą rozłożone jest Mindelo. Przepłynęliśmy koło skały-zęba, na której mieścił się minifort wojskowy, fala wygładziła się i płynęliśmy gładko jak po jeziorze. Minęła nas niewielka łódź rybacka, której załoga machała nam i wznosiła ręce w geście zwycięstwa, a my poczuliśmy się wielkimi bohaterami. Woda w zatoce miała kolor turkusowy. Pogoda, jakby na powitanie, zrobiła się słoneczna. Wpłynęliśmy na żaglach w głąb zatoki i zarzuciliśmy kotwicę koło mariny. Wokół nas stały na kotwicach wielkie oceaniczne jachty, przy których wyglądaliśmy jak szalupka. Jacyś Europejczycy podpłynęli do nas, ofiarowując pomoc, ale grzecznie podziękowaliśmy. Nadmuchiśmy kajak i ruszyliśmy do brzegu zorientować się w sytuacji. Gdy przybiliśmy do kei, znikąd pojawił się ogromny Murzyn o posturze gladiatora i grzecznie, ale stanowczo wyprosił nas. Skierowaliśmy się więc na pobliską plażę, gdzie jakiś lokals wziął od nas wiosła i łamaną angielszczyzną zaofiarował nam pilnowanie kajaka. Wyglądał jak gangster i w myślach już pożegnaliśmy się z kajakiem i wiosłami. Ruszyliśmy więc do bosmanatu zorientować się w formalnościach, a potem do urzędu imigracyjnego i na policję. Pogłoski o biurokracji w koloniach dawnych imperiów nie były przesadzone. Wróciliśmy do kajaka, który nadal był na swoim miejscu. Niestety nie mieliśmy drobnych na bakszysz, więc zaproponowałem napoczetą paczkę fajek. Po twarzy mindelczyka przebiegł cień, ale z tłumu gapiów za jego plecami zaczął krzyzczeć jego kolega, że on pali, więc niechętnie wziął sługi i sprawę zamknęliśmy. Zorientowawszy się w cenach postoju i biorąc pod uwagę niedogodności



Ribeira Grande na Santo Antão. Cesária Évora jest głównym produktem eksportowym Cabo Verde

z dotarciem do brzegu postanowiliśmy stanąć w marinie. Zresztą na wodzie trudniej by nam było przeprowadzić drobne naprawy. Gdy po nocy na wodzie zbieraliśmy się do przeparkowania łódki, nagle puściła nam kotwica. Silny podmuch wiatru wyrwał kotwicę z dna i spychał nas na wielki jacht. Odpaliłem silnik, ale nie dawał sobie rady ze szkwałem. Nadto splątaaliśmy się kotwicami z naszym sąsiadem. W końcu, po wielu sążnistych wiązankach na temat warunków pogodowych, dna itp., udało nam się opanować sytuację i wolno, pod wiar, dotrzeć na keję. Prawdopodobnie nikt wcześniej w Mindelo nie widział jachtu tak wolno płynącego na silniku. Dystans około 100 metrów płynęliśmy kilkadziesiąt minut. Prawdopodobnie Too-tiki jest najkrótszym jachtem z Polski, który dopłynął do wysp Cabo Verde.

Po zacumowaniu ruszyliśmy zwiedzać miasto. Dziwiliśmy się wszystkim. W końcu po raz pierwszy postawiliśmy nogę w pozaeuropejskim kraju. Pierwsze co nas zaskoczyło, to brak koszy na śmieci a jednocześnie niezwykle czyste ulice. To znaczy w Mindelo są kosze, dokładnie cztery i wszystkie w promieniu 100 metrów od mariny. Zadomowiliśmy się też w portowej tawernie. Było to jedno z niewielu miejsc, gdzie można było skorzystać z Internetu, więc codziennie ściągaliśmy tam pielgrzymki z całej mariny. Poznaliśmy tam wiele ciekawych osób. Najpierw natknęliśmy się na sympatyczną parę polskich backpackersów

podróżujących z psem (ciekawych zapraszam na ich blog „Podróże z Pazurem”). Okazało się, że spotkaliśmy się już raz w Las Palmas, ale znajomość nie zaskoczyła, a kilka dni potem znaleźli jacht. Niestety ich kapitan okazał się wariatem i zmuszeni byli wysiąść na Cabo Verde. Spędziliśmy razem około dwu tygodni. Pokazali nam okolicę i miejsca, w których można było tanio zjeść. Wbrew pozorom na Cabo Verde jest drogo. Po części wynika to z nieurodzajnej, skalistej gleby i znacznej odległości od lądu. Najbliższy sąsiad, Senegal, leży za oceanem, w odległości od ponad 500 do ponad 800 km (w zależności od wyspy) i jest równie biednym, a raczej jeszcze biedniejszym, krajem. Większość żywności i innych towarów jest sprowadzana z odległej o 3500 km Portugalii, stąd też szalone ceny. Znajomy, który zapraszał nas na grilla na jachcie, za marchewkę, cebulę i paprykę zapłacił 6 euro. Jedyne, co można tam tanio nabyć, to ryby, lokalne papierosy, banany i grog.

Niedaleko nas, niemal po sąsiedzku stał stary zardzewiały jacht. Był to Polonus, stalowy dwumasztowy kecz z początków lat dziewięćdziesiątych. Jego historia jest słynna w środowisku żeglarskim. Kilka lat temu, wskutek niesprzyjającego splotu okoliczności, jacht rozbił się na Antarktydzie. Z braku możliwości naprawy załoga porzuciła jednostkę i na pokładzie argentyńskiego okrętu wojennego wróciła do Ameryki. Ówczesny bosman z Polonusa, Seba, zawziął się





Jedna z największych atrakcji na Cabo Verde. Brukowana górską droga, łącząca północ z południem Santo Antão, wspina się miejscami na wysokość 1500 m n.p.m.

jednak i po powrocie do kraju odkupił wrak za symboliczne 1 euro. Zrobił zbiórkę, z zebranych funduszy zakupił materiały i wynajął statek, który mu je zawiózł do miejsca, gdzie na plaży leżał Polonus. Tam w trakcie polarnego lata wyremontował jacht na tyle, żeby bezpiecznie wrócić nim do domu. Opowieści o całej wyprawie i przygodach godne są książki, która zresztą powstała całkiem niedawno.

Postanowiliśmy zrobić sobie małą wycieczkę na pobliską wyspę Santo Antão. Na miejsce dotarliśmy po 40 minutach promem z Mindelo. Jeśli Mindelo wydawało nam się biedne, to musieliśmy zmienić nasze sądy po dotarciu do Porto Novo. W mieście, które można obejść w 10 minut, jest raptem kilka jadłodajni i sklepów. Schodząc z promu wpadliśmy w tłum jak na dworcu w Zakopanem. Przed wejściem kotłowali się taksówkarze, sprzedawcy sera i właściciele pokoi do wynajęcia. Po chwili zdecydowaliśmy się pojechać busem na drugi koniec wyspy, do miejscowości Ponta del Sol, która podobno miała być rodzajem jakiegoś kurortu. Trasa wiodła wybrzeżem brukowaną drogą, pamiętającą zapewne portugalską kolonię, z rozdziawionymi ustami podziwialiśmy księżycowy krajobraz za szybą. Co jakiś czas mijaliśmy samotną chałupę, stadko kóz lub osła cierpliwie skubiącego coś, co miała pretensje do bycia trawą. Po dotarciu na miejsce „nasz” kierowca, który przedstawił się jako George, udzielił nam informacji

o tym, gdzie tanio można się przespać. Co prawda mieliśmy namiot, ale po cichu marzyliśmy o cichej „hacjendzie” z prywatnym prysznicem i łóżkiem z normalną pościelą. Po krótkim posiłku w tawernie nad brzegiem oceanu zaczęliśmy krążyć po miasteczku w poszukiwaniu noclegowni Madame Sissi. Nasze próby znalezienia hostelu skończyły się sromotną porażką i w akcie desperacji wróciliśmy do miejsca, gdzie George nas wysadził. Spytaliśmy busiarza, który akurat przyjechał z kolejną grupką turystów, a ten wskazał nam jej dom – cały czas staliśmy pod nim ... Jakiś starszy dżentelmen, widząc nasze zgłupiałe miny uprzejmie wyjaśnił, że Madame raczyła wyjść na spacer i wróci za kilkanaście minut.

Madame Sissi okazała się drobną, kulturalną damą. Jej mąż również spokojny i sympatyczny. Problemem okazał się język. Na Sao Antao praktycznie nikt nie mówi nawet namiastką angielskiego. Za to niezwykle popularny okazał się, poza kreolskim, francuski. Musiałem nieźle wyteńczyć głowę, żeby sobie przypomnieć podstawy tego języka z podstawówki. Po dopełnieniu formalności ulokowaliśmy się w pokoju na pięterku, z widokiem na ocean. Iwona stwierdziła trafnie, że wystrój wnętrza przypomina najlepsze dzieła architektury dworkowo-pałacowej spod Szczawnicy. W pokoiku znaleźliśmy krótką ulotkę spisaną odręcznie w kilku językach o potrzebie oszczędzania wody. Fakt, źródeł wody na wyspach za wiele nie ma, nawet w marinie

w Mindelo woda jest reglamentowana i trzeba za nią dodatkowo płacić. Rano zjedliśmy przygotowane dla nas śniadanie (kawa, całkiem niezłe bułki, omasta, lokalne banany i niebotycznie drogie jogurty), pożegnaliśmy się z gospodarzami i ruszyliśmy dalej.

Ponieważ nie mieliśmy dokładnej mapy turystycznej (absurdalna cena), a skały nad miasteczkiem wydawały się niedostępne, wróciliśmy kilka kilometrów brukowaną drogą do miasteczka, które wczoraj mijaliśmy. Po drodze widzieliśmy boisko, które znajdowało się na jedynym płaskim kawałku ziemi, który można było tam znaleźć, to jest na plaży. Ciekawostka - choćby nie wiadomo jak biedna była wioska i jak zapadłe jej domostwa, niemal w każdej było małe boisko. W Ribera Grand nie zabawiliśmy długo. Na ulicy wypatrzył nas George i niemal siłą zagonił do swojego busika. Ruszyliśmy więc na samochodową wycieczkę, ponoć jedną z najpiękniejszych dróg świata. Góry zrobiły na nas niesamowite wrażenie. Droga wspinała się na wysokość niemal 1500 m. Nieustające wiatry znad oceanu wytracają tu swoją wilgoć, więc chwilami czułem się jak w Tatrach. Byliśmy trochę zszokowani, jadąc przez sosnowe lasy, których nie spodziewaliśmy się na tych pustynnych wyspach. George prowadził pewnie, od czasu do czasu zatrzymując się, by podwieźć jakiegoś dzieciaka wracającego ze szkoły lub pokazać nam coś ciekawego. Po południu wróciliśmy do Porto Novo i nie mając lepszego pomysłu, wróciliśmy do Mindelo.

Tam też, po kilku dniach, podjęliśmy decyzję o powrocie do kraju celem podreperowania naszego budżetu i kupienia nowego samosteru, tym razem elektrycznego. Nie chcieliśmy wracać, choć trochę tęskniliśmy za normalnym łóżkiem i prywatną łazienką. Niestety prześwietlające dno w naszej pokładowej skarbonce i fakt, że samoster wiatrowy mógł nie zadziałać w czasie miesięcznego rejsu przez ocean, przeważały szalę. Za ostatnie grosze kupiliśmy bilety i po dwóch dniach, posiadając tylko tyle ile się zmieściło w plecakach, wyładowaliśmy w zimnej, szarej i smutnej Warszawie. Na Cabo Verde wrócimy w październiku.

**Fotografie: Filip Sułkowski,  
Iwona Januszewska**



# Nasz tajemniczy krajan

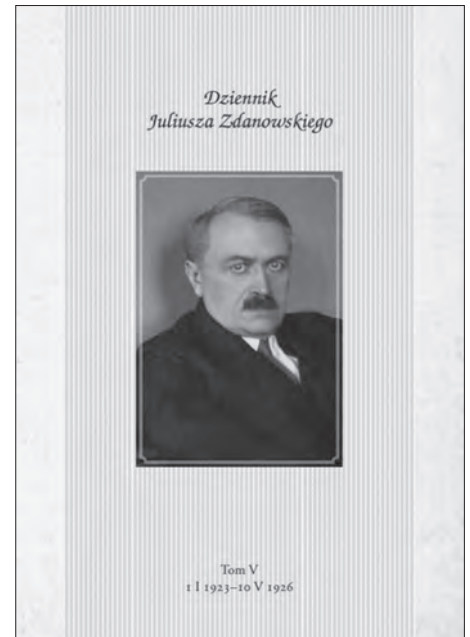
Tajemnica zawarta w tytule dotyczy Juliusza Zdanowskiego (24 XII 1874-7 X 1937). Przeczytałam 7(!) tomów jego „Dzienników”, bo czego się nie robi dla znakomitego dwumiesięcznika, jakim jest „Echo”!

„Dzienniki” mają swoją historię. Pisane były przez 20 lat w kluczowym czasie dla Polski, to jest od 1915 do 1935 roku. Nie były przeznaczone do druku, stąd ich wielka waga, zwłaszcza, że pisane były z niezwykłą pasją. Trafiły do Ossolineum. Opiekował się tymi rękopisami biograf historyk Józef Zieliński, który poczynił na marginesach uwagi. Żona autora, Aniela z Godlewskich Zdanowska (1882-1970), znacznie przeżyła męża i przepisała je po wojnie na maszynie. Już w naszym wieku nad spuścizną pochyliło się grono znamiennych profesorów Uniwersytetu Szczecińskiego: Janusz Faryś, Tomasz Sikorski, Henryk Walczak i Adam Wątor. I pod ich redakcją w latach 2013-2015 ukazały się rzeczony „Dzienniki”.

Profesorowie ogłosili także życiorys autora. W pierwszym zdaniu tego życiorysu jako miejsce jego urodzenia wymienione jest Lipie (część wsi Sadek w gminie i parafii Jodłownik) w powiecie limanowskim, co mnie bardzo zafrapowało. Być może przyszedł na świat w dworze Romerów, którzy mieli siedzibę w Jodłowniku, ale też dwór w Lipiu. Miejscowość Lipie potwierdził także

profesor Adam Wątor w rozmowie telefonicznej ze mną. Ten znany szeroko historyk, współredaktor „Dzienników” oraz współpracownik Redakcji Polskiego Słownika Biograficznego Polskiej Akademii Nauk, nie tylko potwierdził tę wiadomość, ale podkreślił, że miejsce to jest także przytaczane w innych publikacjach (m. in. VIII tomie „Ligi Narodowej”) i wskazał, że dokumentacja na temat Juliusza Zdanowskiego z tym samym miejscem urodzenia czeka jako podstawa biogramu w „Polskim słowniku biograficznym”, gdy prace w tym monumentalnym – pisanym od 1934 roku – panteonie polskiej pamięci, obejmą literę Z (obecnie w trakcie opracowań są biogramy na literę T).

Tymczasem *Wikipedia* podaje, że urodził się w Śmiłowie w powiecie miechowskim. I chociaż autor „Dzienników” nie zajmował się na łamach o Limanowszczyźnie, a do Śmiłowic ciągle nawraca, to nasuwają się pewne wątpliwości, co do wiarygodności informacji w *Wikipedii*. Być może więcej byłoby o Limanowszczyźnie w kilku wykreślonych urywkach dzieła jako ściśle prywatnych.



Kim zatem był autor „Dzienników” – nasz tajemniczy krajan? Był człowiekiem wykształconym, ziemianinem i organizatorem stowarzyszeń ziemiańskich, wreszcie politykiem po stronie endeckiej, czyli po stronie ugrupowań – o różnych nazwach – z obozu narodowej demokracji, zwanej skrótowo endecją.

Po gimnazjum w Krakowie oraz studiach prawniczych i ekonomicznych we Lwowie, Fryburgu i Monachium, pracował w Musée Social w Paryżu. Po powrocie do kraju w 1899 roku objął majątek po ojcu Śmiłowice. W 1902 roku zawarł związek małżeński z Anielą Godlewską. W 1905 wstąpił do Ligi Narodowej i zasiadał następnie w Radzie Naczelnej Stronnictwa Demokratyczno-Narodowego w Warszawie.

Pracował też w organizacjach ziemiańskich. W 1909 został wydalony z zaboru rosyjskiego. Po powrocie w 1910 roku, został prezesem kółek rolniczych ziemi kieleckiej. Zakładał stacje doświadczalne i utworzył szkołę gospodarczą. W 1912 został członkiem Centralnego Towarzystwa Rolniczego.

Wspomagająca go żona Aniela Zdanowska uczestniczyła w tajnym nauczaniu, zakładała Koła Gospodyń Wiejskich, będąc w latach 1922-1932 przewodniczącą Zarządu Głównego KGW przy CTR oraz działała w Polskiej Macierzy Szkolnej.



Uczestnicy konferencji. Widoczni m.in. minister spraw wewnętrznych Cyryl Ratajski (I rząd, w środku), wiceminister skarbu Bolesław Markowski (I rząd, z prawej), prezes Rady senator Juliusz Zdanowski (I rząd, z lewej). Grudzień 1924 rok. Fotografia: arch. NAC





Prezydium zjazdu sejmików powiatowych. Widoczni m.in. minister spraw wewnętrznych Władysław Raczkiewicz (trzeci z lewej), senator Juliusz Zdanowski (przemawia), poseł Aleksander Bogusławski (pierwszy z prawej), Józef Alojzy Bek (drugi z prawej) - prezes Związku Powiatów RP, członek Trybunału Stanu. Do roku 1918 sekretarz Rady Powiatu Limanowskiego. Fotografia z 1926 roku. Fotografia: arch. NAC

Juliusz Zdanowski wzmógł aktywność w czasach Wielkiej Wojny (później nazwaną pierwszą), głównie w Lublinie, gdzie był członkiem (1915-1918), a następnie prezesem Głównego Komitetu Ratunkowego i reprezentantem rządu Rady Regencyjnej (1918-1919). Po załamaniu się Austro-Węgier, 25 października 1918 roku generał-gubernator całej Galicji zlikwidował własny urząd w Lublinie i przekazał władzę w ręce komisarza generalnego, czyli Juliusza Zdanowskiego jako osobie cieszącej się autorytetem. I wówczas doszedł on do bardzo krótkotrwałej, ale najwyższej władzy. 3 listopada 1918 roku na jego ręce urzędnicy, w tym pułkownik Edward Śmigły-Rydz (dowódca Wojska Polskiego na terenie okupacji austriackiej), złożyli przysięgę na wierność ojczyźnie, państwu polskiemu oraz Radzie Regencyjnej. Cztery dni później Edward Śmigły-Rydz poparł Tymczasowy Rząd Ludowy Republiki Polskiej pod kierownictwem Ignacego Daszyńskiego, pozbawiając Zdanowskiego władzy. A o mały włos mógł zostać szefem rządu!

W styczniu 1921 wybrany został wiceprezesem endeckiego Zarządu Głównego Związku Ludowo-Narodowego, a w kolejnym roku został senatorem z obozu narodowego, pełniąc funkcję prezesa Klubu Senatorów ZLN. Nadal spotykał

się z czołówką polityków ze swego obozu. W jego warszawskim mieszkaniu odbywano poufne rozmowy, m. in. 17 maja 1923 roku podpisano pakt lanczowski. W 1924 wybrany został ponownie wiceprezesem ZG ZLN.

Po zamachu majowym, szczególnie po wyborach 1928 roku, jego polityczna aktywność zmalała. Działał w Związku Ziemian, w latach 1923-1928 był prezesem Rady Zjazdów Samorządu Ziemskiego i członkiem władz CTR oraz Rady Naczelnej Organizacji Ziemiańskich.

Od 1920 roku do śmierci był naczelnym dyrektorem Banku Komunalnego w Warszawie. Prowadził aktywny tryb życia, krążąc między Warszawą, Kielcami, Lublinem i Śmiłowem. W jego „Dziennikach” nie brakuje żółci pod adresem politycznych oponentów, a zwłaszcza pod adresem Józefa Piłsudskiego. Zgłaszał wiele pretensji pod adresem rozwiązań gospodarczych, szczególnie dotyczących cen i koniunktury w rolnictwie, co znał z autopsji, zawiadując swymi włościami. Jeśli jemu nie było dobrze, to co mieli powiedzieć chłopci, którzy przed wojną stanowili większość społeczeństwa i byli skazani na doskwierający głód ziemi i przeważnie nędzę? Pod względem zobrazowania wahań koniunktury i trudów przedwojennej, zwłaszcza rolnej gospodarki, jest to nieocenione źródło

historyczne. Autor nie rozczuła się nad obowiązującym przed wojną „byczojeństwem” (sprowadzającym wszystko do sukcesów i powiedzenia, że „byczo jest”!), choć niewątpliwie II Rzeczpospolita, z której Polacy byli dumni, osiągnęła niemałe sukcesy.

Komentował ostro bieżące wydarzenia polityczne. Przedostatni zapis w „Dziennikach” z 21 czerwca 1935 roku dotyczył nowej sytuacji, która nastąpiła po śmierci Józefa Piłsudskiego: *Dotąd wszystko się działo w imię marszałka. W czyim imieniu dzisiaj? Rozdęty autorytet był w stanie ludzi omamić. Chce się go poza grób przeciągnąć. To się chyba jednak nie uda, bo wśród żyjących są tacy, co chcą autorytet dziedziczyć. Więc pogłoski autentyczne o sporze Sławka z Mościckim, o sporze Becka ze Sławkiem..., który uważa się za sukcesora polityki zagranicznej, o sporze Sławka ze Śmigłym, z których każdy chce pewnej grupie generałów udowodnić swój mandat do jedynego wykonawcy testamentu.*

Zmarł 7 października 1937 roku w Krakowie. Po śmierci został odznaczony Komandorią Orderu Odrodzenia Polski.

Wyłowiałam w „Dziennikach” nieco informacji o ludziach związanych z Limanową, zwłaszcza o Beckach (ojcu i synu) i Żuławskich. Ale o tym przy innej okazji.



# Wspomnienie o Annie Wierzyckiej

W październiku minie trzecia rocznica odejścia do wieczności Anny Wierzyckiej absolwentki I Liceum Ogólnokształcącego w Limanowej z 1951 r. należącej do znanej i ciągle malejącej grupy ORGANOWCÓW.



Spotkanie u Anny Wierzyckiej - wrzesień 2006 rok. Siedzą od lewej: Hania, Mieczysław Sułkowski, Zofia Wiśniewska.

Anna zwana przez zespół klasowy „Nasza Hanią” urodziła się w 1932 r. w Zalesiu. Była piątą spośród siedmiorga rodzeństwa, w którym znalazł się tylko jeden chłopiec z góry przeznaczony na spadkobiercę gospodarstwa i nazwiska. Była to niełatwa rola, ale wywiązał się z niej wobec sióstr należycie.

Anna rozpoczęła naukę w miejscowej szkole podstawowej w miesiąc po wybuchu II wojny światowej. Od początku była pilną, wzorową i zdyscyplinowaną uczennicą garnącą się do nauki. Doceniła to jej wychowawczyni i polonistka w jednej osobie, która, gdy tylko miała nauczyć się czytać, wypożyczała jej książki z własnych zasobów, bo szkolne księgozbiory trzeba było zabezpieczyć i ukryć przed konfiskatą i zniszczeniem przez wroga.

Rodzice nie zawsze przychylnym okiem patrzyli na ciągle zajęta lekturą córkę, bo w owym czasie wiejskie dzieci od najmłodszych lat pomagały w gospodarstwie, ale zaleceniom nauczycielki nikt nie chciał się sprzeciwić zwłaszcza, że tak dobrze mówiła o ich Hani w obecności całej klasy.

Działania wojenne trwające prawie 6 lat wreszcie dobiegły końca. Hania

otrzymała piękne świadectwo i od nowego roku szkolnego miała podjąć naukę w siódmej klasie w szkole podstawowej w Kamienicy, bo w jej macierzystej placówce tej klasy nie było. Do Kamienicy był szmat drogi – 7 kilometrów, ale wówczas takimi odległościami nikt się nie przejmował, a o żadnym zorganizowanym podwożeniu uczniów nie było mowy.

Wtedy w jej życie „wstąpiła” wychowawczyni. Przyszła do rodziców i w długiej rozmowie przekonała ich, by córka podjęła naukę w gimnazjum.

Do wyboru były 2 miasta – Limanowa lub Nowy Sącz. Rodzice po obliczeniu kosztów utrzymania córki na stacji i czesnego wybrali Limanową. Tam łatwiej dojechać ich niewielkim konikiem, a nawet pieszo pobiec „na skróty” przez słopnicki las, by podrzucić córce coś do jedzenia.

Wiedzieli, że będzie im ciężko. Mieli co prawda średniej wielkości gospodarstwo, ale w Zalesiu ziemia niskiej kategorii, kamienista, ciężka do obróbki, a plony zależne od kaprysów pogody.

Można jeszcze liczyć na sprzedaż runa leśnego, ale zbiór był uzależniony od aury i cen w punktach skupu. Wierzyli jednak, że córka po skończeniu nauki

pomoże pozostałemu rodzeństwu, a to dodawało im sił.

Stancję dla córki znaleźli u pp. Lebdów „Na Krzyżówce” w Sowlinach. Tam Anna mieszkała 16 lat (w tym jeszcze 10 po zdaniu egzaminu dojrzałości).

Pokój zajmowało 5 uczennic. Oprócz prądu elektrycznego innych wygód nie było, ale Anna nie była do nich przyzwyczajona. Inne lokatorki zmieniały stancję, ona nie. Polubiła z wzajemnością gospodarzy. Pomagała ich przybranemu synowi w nauce w szkole podstawowej i zawodowej, bo rozpieszczony przez rodziców, niezbyt zdolny chłopiec, nie garnął się do wiedzy.

Sama zawsze była do lekcji przygotowana, ale wrodzona nieśmiałość powodowała, że sama nie miała odwagi zgłaszać się do odpowiedzi i oczekiwała na wezwanie profesorów. Interesowała się wszystkimi przedmiotami, ale najbardziej ścisłymi, głównie matematyką i tutaj stała się rzecz dziwna. Wychowawca klasy, a zarazem matematyk był zdania, że nie jest to przedmiot, w którym mogą celować kobiety i nie dostrzegał uporczywie jej zdolności.

Zdał sobie z tego sprawę później, dla niej za późno. Był potem zdumiony, że wybrała i ukończyła bardzo ciężki kierunek i stała się w swej branży „kimś” ogromnie się liczącym.

Po zdaniu matury podjęła pracę zawodową. Marzyła o studiach, ale nie chciała i nie mogła narażać rodziców na dalsze wydatki.

W sierpniu 1951 r. otrzymała etat w Łososińskich Zakładach Przemysłu Drzewnego (późniejsza nazwa Łososińskie Przedsiębiorstwo Przemysłu Drzewnego).

Przeszła tam w księgowości wszystkie stopnie wtajemniczenia zawodowego, zaczynając od najniższego – „kancelistki” przygotowującej rachunki do rozliczenia aż do funkcji głównej księgowej największego zakładu produkcyjnego w powiecie limanowskim.

Od początku była bardzo odpowiedzialnym, dyspozycyjnym i zdyscyplinowanym



pracownikiem. Przełożeni wnet zwrócili uwagę na staranne wykonywanie poleceń. Dlatego też po 2 latach pracy zaproponowali jej skierowanie na studia zaoczne, spełniając tym samym ciche marzenie Anny. Podjęła je na Wydziale Leśnictwa, wybierając kierunek odpowiadający charakterowi zakładu pracy. Po ich ukończeniu z bardzo dobrym wynikiem podjęła specjalizację z dendrologii pod kątem produkcji prowadzonej przez zakład pracy, a potem drugą dotyczącą zbytu wyrobów, zawierania umów i lokowania z zyskiem uzyskanych korzyści materialnych. Należy zaznaczyć, że specjalistów dotyczących tych zagadnień w zakładach pracy wówczas nie było. Otrzymała także uprawnienia do kontroli zakładów drzewnych prowadzących obrót wyrobami w kraju i za granicą.

Takie uprawnienia po odbyciu dodatkowych dwuletnich studiów przyznano tylko 6 osobom w Polsce.

Na spotkanie związanym z rozdaniem dyplomów przybył ówczesny Minister Leśnictwa i ściskając dyplomantom prawicę powiedział:

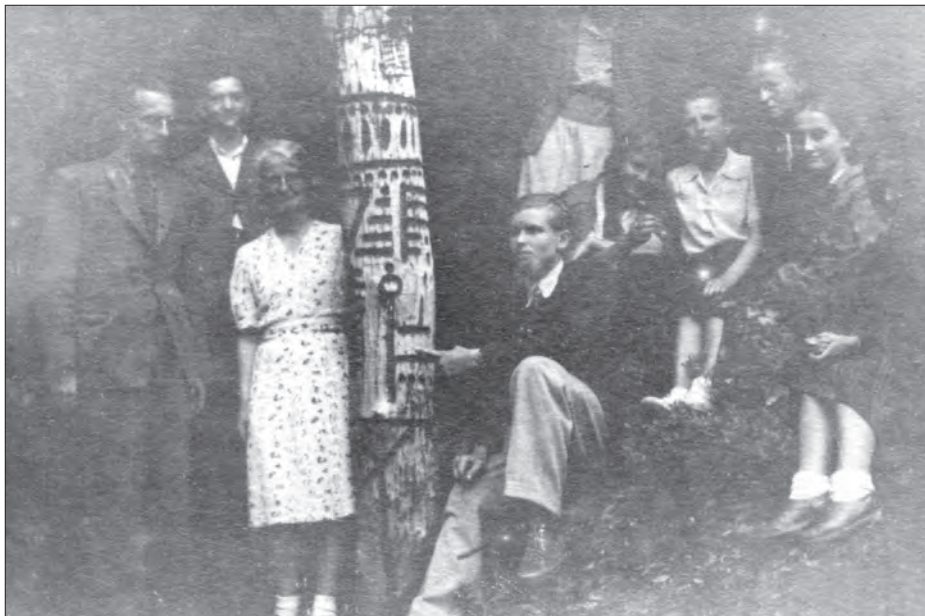
- Jesteście pierwszymi i w tej chwili jedynymi w kraju osobami, które oparowały tak wąską, tak specyficzną i tak potrzebną specjalizację. Oby wasza praca stała się zaczynem rozwoju zakładów produkcji drzewnej i przynosiła korzyści Polsce i ludziom w niej zatrudnionym.

Po ukończeniu studiów, zdobyciu specjalizacji i nabyciu uprawnień Annie zaoferowano stanowisko głównej księgowej Zakładu. Wtedy go nie przyjęła, bo oznaczało to równocześnie odwołanie z tego etatu osoby pełniącej tę funkcję do tej pory. Chcąc być w zgodzie ze swymi zasadami, nie mogła tego uczynić. Zdecydowała się objąć to stanowisko po odejściu na emeryturę starszej koleżanki. Zdobyła przez to dodatkowe uznanie pracowników Zakładu.

Powołanie Anny na tak liczące się stanowisko było bardzo dobrym wyborem. To nie „tylko” główna księgowa, dla której najważniejszy i jedyny był budżet, jego realizacja, liczby i sprawozdania.

To był CZŁOWIEK, który myślał o wszystkim, nawet o sprawach nie należących do zakresu jej obowiązków.

Dla niej, głównej księgowej, ważna była produkcja, jej sprzedaż, zyski i godziwa ocena pracowników wyrażająca się odpowiednim wynagrodzeniem, otrzymywaniem należnych nagród i przysługującym wypoczynkiem.



„Światowid” obok prof. Eugenia Naturska - Śnieżnica 1949 rok. Anna Wierzycka w białej bluzce siedzi

Zakład pracy oprócz krajowych, miał stałe miejsce wypoczynkowe w Słowacji, z którego w zasadzie mogli korzystać wszyscy pracownicy. Zwykle jednak tak się składało, że było inaczej. To dzięki niej zaczęły wyjeżdżać do niego zmieniające się grupy pracowników. Podobnie było z nagrodami i premiami.

Nieśmiała początkowo osoba zmieniała się w odpowiedzialnego, racjonalnego pracownika, który w sposób rzeczowy umiał przedstawić Dyrekcji swoje racje i znaleźć zrozumienie. Widząc dobre efekty, zaczęto liczyć się z jej sugestiami i radami podyktowanymi troską o zakład, ludzi i dobrą atmosferę w pracy.

W Łososieńskim Przedsiębiorstwie Przemysłu Drzewnego produkowano różne przedmioty m.in. komplety beczkowe, palety, łubianki i inne wytwory finalne wysyłano do wielu miast, głównie do Gdyni, skąd „szły” w świat.

W okresie największej prosperity zakład zatrudniał na 3 zmiany 2 tysiące robotników. Chcąc pomóc Dyrekcji, Anna szukała nowych kontaktów handlowych i miejsc zbytu. Wszystko dobrze się układało, aż do momentu zmian ustrojowych. Dała o sobie znać „galopująca” inflacja i powszechne dążenie do wyzbycia się państwowych zakładów. Dobrze prosperujący zakład poszedł w złe, obce ręce. Zagraniczny nabywca obiecujący przed zakupem „złote góry” doprowadził do jego upadku. Wywiózł maszyny i urządzenia, nic w zamian nie dając.

Ogromna grupa ludzi została bez pracy, a ich rodziny bez środków do życia. Główna księgowa robiła wszystko, by

uratować zakład pracy, nawiązać nowe kontakty i znaleźć miejsca zbytu wyrobów. Nie czyniła tego dla siebie, bo mogła odejść na przyzwoitą emeryturę. Szukała ratunku dla innych, ale nikt jej nie słuchał i nie pomagał. Osamotniona w tych dążeniach bardzo przeżyła tragedię pracowników.

Łososieńskie Przedsiębiorstwo Przemysłu Drzewnego przeszło do historii. Anna była jeszcze w pełni sił, nie przyzwyczajona do bezczynności. Dlatego podejmowała różne prace, głównie społeczne, zwłaszcza w hospicjum. Chorym, pozbawionym nadziei ludziom przynosiła pomoc, dobre słowo, uśmiech. Ogromnie była przez nich lubiana.

Od początku swej pracy zawodowej spłacała swój dług wdzięczności rodzinie. Obiecała to swoim rodzicom i wywiązywała się z tego, co przyrzekła. Wykształciła najmłodszą siostrę i pomagała pozostałemu rodzeństwu, które zawsze mogło na nią liczyć.

Zrezygnowała z założenia własnej rodziny, bo wydawało się jej, że nie mogłaby poświęcić jej tyle czasu i wkładu, ile wymaga prowadzenie domu i wychowanie dzieci.

Całe życie pragnęła mieć własny kąt, mały domek, w którym mogłaby gościć rodzinę i przyjaciół. Zdecydowała się na komplet w zabudowie szeregowej. Okres oczekiwań na upragnione lokum bardzo się przedłużał. Ogromna inflacja spowodowała, że wpłacona kwota starczyła za ledwie na dwa niewielkie pokoiki w bloku. Poczuli się i tak szczęśliwi, bo mogła i tego nie mieć.



► Kochała ludzi i swój kraj POLSKĘ, ale miłość do Ojczyzny jest zawsze jednokierunkowa, bez rewanżu. Dlatego i z tej strony spotkała Ją krzywda.

Po maturze, dla nas, klasowej gromady, była oparciem i powiernikiem w trudnych życiowych sprawach. Dla mnie przyjaciółką, jak mówiła „od zawsze.” Przyjaźniłyśmy się prawie 70 lat. Przyszykowałyśmy to sobie tuż po maturze i słowa dotrzymałyśmy. Nasz wychowawca i matematyk p. prof. Józef Staniszewski żegnając się z nami po rozdaniu świadectw maturalnych powiedział: „Przyjaźnie zawarte w szkole średniej są najbardziej trwałe. Zwykle na całe życie. Pamiętajcie o tym i pielęgnujcie je”. Miał rację.

Przez cały czas pobytu w szkole siedziałyśmy w jednej ławie. Nie miałyśmy przed sobą żadnych tajemnic. Potem odwiedzałam ją zawsze podczas pobytów w Limanowej. Wpadałam do Niej choćby na krótko, by porozmawiać o sprawach własnych i rodzinnych. Ciągłe też byłyśmy w kontakcie telefonicznym.

Uczestniczyła we wszystkich zjazdach i spotkaniach koleżeńskich. Po ogólnym pożegnaniu zapraszała jeszcze do siebie tych „od serca”, by przedłużyć wspólny pobyt. Interesowała się losem dawnych kolegów. Przeżywała nasze radości i troski, a szczególnie ostateczne pożegnania i odejścia.

Odwiedzali ją także inni z klasowej gromady, zwłaszcza ci, którzy mieszkali daleko od Limanowej i przyjeżdżali do niej rzadko. Wizytę u Hani uważali niemal za swój obowiązek. Prowadziła też bardzo bogatą korespondencję. Jej adres był dla nas wszystkich punktem kontaktowym. Tak ustaliliśmy w czasie jednego z pierwszych koleżeńskich zjazdów.

Przez ostatnie 5 lat przed ostatecznym odejściem do innego wymiaru postępująca choroba wykluczyła ją z czynnego życia. Traciła siły, nie mogła chodzić, a medycyna mimo wysiłków lekarzy, okazała się bezradna. Musiała zrezygnować z zajęć z czekającymi na nią chorymi w hospicjum.

Zawsze czynna i energiczna nie umiała się pogodzić ze swym kalectwem. Stałą i serdeczną opiekę sprawowała nad nią siostrzenica, która na czas choroby ciotki wzięła w pracy długotrwały urlop, by służyć jej pomocą.

Anna ciągle miała nadzieję, że nastąpi poprawa. Niestety, było coraz gorzej. Pogodzona z losem odeszła w bezpowrotną drogę w smutny październikowy dzień 2015 r.



Pierwszy Zjazd Koleżeński - 1956 rok. Anna Wierzycka pierwsza z prawej strony



Zjazd koleżeński - lipiec 2005 rok. Anna Wierzycka druga z lewej

Spoczęła na cmentarzu w Zalesiu żegnana przez rodzinę, znajomych, sporą grupę byłych pracowników rozwiązanego Zakładu Pracy, którzy o niej ciągle pamiętali i tylko dwóch koleżanek z ławy szkolnej. Nieliczna gromadka koleżanek i kolegów z tamtych lat (żyło jeszcze wówczas 9 osób) rozproszona po Polsce (dwie osoby „na stałe” mieszkają zagranicą) ze względu na wiek, choroby i odległość nie były w stanie przybyć. Zresztą nie dotarła do nich w porę smutna wiadomość.

W czasie złożenia Anny do grobowca na wieczny spoczynek, na moment błysnęło słońce, jakby chciało ją także pożegnać, a może podkreślić, że jej zasługi godne są zapamiętania.

Fotografie: arch. Zofii Wiśniewskiej



# Feralny samochód

## – epizod z 1944 roku – cz. 2

W numerze 280-281 Echa Limanowskiego ze stycznia-lutego br. roku poruszony został temat związany z akcją uprowadzenia samochodu Gubernatora Hansa Franka przez żołnierzy AK oraz jego ukrycie w rejonie masywu góry Mogielicy. Brawurowa akcja młodych partyzantów pociągnęła za sobą negatywne skutki. W tym numerze dalsza część epizodu z maja 1944 r.

### Konfidenti

Na wiosnę 1944r. na północno-wschodnich stokach góry Mogielica, na os. Groń swoją kwaterę ulokował Oddział Partyzancki AK „Wilk” pod komendą por. Krystyna Więckowskiego „Zawiszy”. Rejon Mogielicy w owym czasie uchodził za bezpieczny dla kontynuacji rozbudowy sił i struktur leśnego wojska. Dodatkowo działalność szkoleniowo-dywersyjną oddziału „Wilk”, wspierała lokalna placówka Kamienica-Słopnice o kryptonimie „Kuźnia” pod dowództwem ppor. Jana Połomskiego „Dęba”. Zanim doszło do organizacji działalności partyzanckiej przeciwko okupantowi, jednym z zadań była likwidacja grup bandyckich, podszywających się pod żołnierzy konspiracji. Kilka takich grup grasowało między Limanową i Dobrą, zapędzając się do słopnickich osiedli. Pod pozorem rekwizycji żywności dokonywano rabunku żywności, bydła, trzody chlewnej. W czasie „nocnych wizyt” bandyci często powoływali się na koligacje rodzinne z żołnierzami AK lub BCh, wpływając negatywnie na postrzeganie rzeczywistej działalności partyzanckiej przez lokalnych gospodarzy. Oprócz band rabunkowych co jakiś czas w rejon Tymbarku i Słopnic wędrowali przygodni handlarze, którzy w swoich plecakach dźwigali zazwyczaj drobne towary przeznaczone na potrzeby gospodyń wiejskich. W rzeczywistości niejednym z takich „gości” był na usługach niemieckiej Policji Kryminalnej (*Kriminal Polizei*) lub nowosądeckiego Gestapo. Cel był jeden: zasięgnąć informacji na temat działalności konspiracyjnej, pozyskać adresy, kontakty, które umożliwiały przeprowadzenie przez okupanta skutecznej obławy.

### Feralny samochód

Początek szerszego zainteresowania się przez Niemców Słopnicami przypadł na połowę maja 1944r. Wówczas

przebywający na kilkudniowym urlopie w Krakowie żołnierze OP AK „Wilk”: Edward Czarnecki „Murzyn”, Antoni Szczyrek „Stefan” oraz Stanisław Bieniasz „Jadzia” wykorzystując wieczorną porę, uprowadzili z podwórka przy Alei Krasieńskiego jeden z samochodów należący do Gubernatora Hansa Franka.

Akcja prawdopodobnie przeszłaby bez większego echa, gdyby nie pomyłka uciekinierów. Zdecydował o tym prosty błąd i to, że żaden z grona partyzantów nie pochodził z Ziemi Limanowskiej a w konsekwencji nie znano dobrze lokalnych dróg. Przejeżdżając od strony Mszany Dolnej, kilka godzin po północy partyzanci pomylili drogę, skręcając do Tymbarku zamiast do Słopnic. Klucząc w rejonie rynku w Tymbarku i pytając o drogę do Słopnic, zostali częściowo zdekonspirowani. Wkrótce nowosądeckie gestapo wiedziało, że poszukiwany samochód musi znajdować się w rejonie Słopnic. W tym celu do miejscowości w odstępach kilkudniowych zostali wysłani agenci w celu infiltracji lokalnego społeczeństwa, byli to: Alfons Uczkiewicz, Józef Krawczyński oraz Józef Płachta. Wszyscy w różnych odstępach czasu dostali się w ręce partyzantów, a za wykonywaną „pracę” na rzecz okupanta wykonano na nich wyroki. Szerzej o okolicznościach związanych z tymi incydentami będzie w kolejnym numerze.

### Goście w leśniczówce

Na wschodnim skraju Słopnic, w przysiółku Leśniówka, swoje gospodarstwo i leśniczówkę prowadził Franciszek Gęsiak wraz z żoną. Sam leśnik był zakonspirowany w strukturach Związku Walki Zbrojnej, a później Armii Krajowej od 1941 roku pod pseudonimem „Pień”. Lasy Cichonia i Ostrej były popularnym miejscem polowań niemieckich oficerów stacjonujących w rejonie Limanowej, dlatego Franciszek Gęsiak musiał uważać



Franciszek Gęsiak. Fot. ze zbiorów rodziny Gęsiaków



W tle leśniczówka Franciszka Gęsiaka. Fot. ze zbiorów rodziny Gęsiaków

na nieproszonych gości, którzy często odwiedzali jego leśniczówkę. Z końcem maja do leśnego domostwa zawitało dwóch gości, których wizyta miała znaczący wpływ na szereg wydarzeń w limanowskim podziemiu. Oto fragmenty relacji Franciszka Gęsiaka, spisane po wojnie: [...] *Pod koniec maja 1944 r. zgłosiło się do mnie do leśniczówki, w sobotę wieczorem [prawdopodobnie 27 maja – przyp. P.B.] dwóch Niemców w cywilu i prosili, abym zezwolił na przenocowanie i zapołowanie na rogacza. Jeden z nich o ile* ►



sobie przypominam przedstawił się jako Köller, a drugi mówił po polsku i przedstawił się jako dr Kuślewski [właściwie Kulczewski – przyp. P.B]. Wspomniał przy tym, że pochodzi z Prus Wschodnich i że jest Mazurem[...]. W tym samym czasie, trzy kilometry na zachód, na polanach Dziełca odbywały się szkolenia i koncentracja oddziałów partyzanckich, placówek Obwodu AK Limanowa w ramach akcji „K” – Kosz, przygotowania zrzutowiska alianckiego do odbioru zrzutów z samolotów lecących z alianckiej bazy we włoskim Brindisi. Tymczasem gośćmi leśniczego Gęsiaka byli: zastępca szefa prasowego w rządzie Generalnego Gubernatorstwa dr Kulczewski oraz urzędnik kolejowy wyższej rangi podający się jako Köller. Według sądeckiego regionalisty Józefa Bieńka, niespodziewani goście nie byli zorientowani w zaistniałej sytuacji w terenie, w tym jeżeli chodzi o wzmożoną działalność partyzancką. Czas urlopu chcieli spędzić na polowaniu w rejonie góry Cichoń.

## Konfrontacja z partyzanckim patrolem

Niedzielnny poranek przyniósł następujący przebieg zdarzeń. W godzinach porannych od strony Lipowego do leśniczówki zbliżył się patrol żołnierzy AK. W tym miejscu warto przywołać kolejny fragment relacji leśniczego Gęsiaka: [...] Rano o świcie Köller poszedł w las, a Kuślewski pozostał w leśniczówce. Około godziny 5 rano przechodziła z kierunku od Lipowego grupa partyzantów AK. Patrol 6 osób. Zatrzymała się na skraju lasu. Dwóch z nich podeszło pod leśniczówkę. Na głos ujadających psów wyszedłem przed dom. Zbliżający się zapytali, czy mogą się czegoś napić, powiedziałem, że owszem, ale żeby uważali, ponieważ w mieszkaniu znajduje się Niemiec. Wówczas wrócili do pozostałych kolegów i jak przypuszczam naradzili się co robić. Po chwili wróciło ich czterech i pytali się czy Niemiec posiada broń. Odpowiedziałem, że tak, wówczas otrzymałem rozkaz, abym poszedł do Niemca i zabrał mu broń. Poszedłem do mieszkania i oświadczyłem, że dom, leśniczówka jest otoczona przez partyzantów i żądają oddania broni. Niemiec wystraszony bez słowa oddał mi sztucer myśliwski i broń krótką oraz amunicję. Broń oddałem partyzantom i wówczas polecili mi, abym zawiadomił Niemca, aby



Koncentracja i szkolenie żołnierzy placówek Obwodu AK Limanowa na Mogielicy latem 1944r. Fot. ze zbiorów Jerzego Krzewickiego.



Żołnierze OP AK „Wilk” na osiedlu Groń w Słopnicach w trakcie posiłku. Drugi z prawej Bronisław Folwarski „Kaktus”, drugi z lewej: kpr. Jan Wąchała „Łazik”. Fot. ze zbiorów Jerzego Krzewickiego

wyszedł przed dom, co Niemiec bez słowa i oporu uczynił. Partyzanci zabrali go ze sobą w las. O dalszych jego losach nic mi nie wiadomo. Tyle zapisał w tej sprawie Franciszek Gęsiak. Nieco odmienną relację spisał Józef Bienieć, przeprowadzając po wojnie rozmowy z partyzantami. Wspominał, że akowski patrol pochodził z OP AK „Wilk”, stacjonującego na os. Groń na Podmogielicy. Mieli to być żołnierze z plutonu gospodarczego kaprała Jana Wąchały „Łazika”. Przed leśniczówką



pojawił się m.in. Bronisław Folwarski „Kaktus”, Mieczysław Białoń „Junak” oraz Stanisław Szkaradek „Zawrat”. Przy udziale leśniczego Gęsiaka aresztowali zaskoczonego dra Kulczewskiego, zabierając go ze sobą i śpiesząc w rejon zrutowiska na Dzielcu. W tym samym czasie w budynku w innym pomieszczeniu miał się znajdować drugi Niemiec, któremu udało się ukryć i zbiec do Limanowej, tuż po odejściu partyzantów, pomimo próby pościgu nie udało się go schwycić. Nowosądeckie gestapo zostało powiadomione o zdarzeniu.

## Pertraktacje i wyrok

Sereg zdarzeń, który nastąpił w rejonie Tymbarku i Słopnic na przestrzeni miesiąca maja: uprowadzenie samochodu Hansa Franka, zniknięcie konfidentów gestapo oraz uprowadzenie dra Kulczewskiego zmusiły Niemców do podjęcia radykalnych kroków do walki z polskim podziemiem. Prowadzący referat do spraw walki z bandami Hauptsturmführer Heinrich Haman skontaktował się z szefem gestapo w Nowym Sączu, Wilhelmem Raschwitzem w celu organizacji zakrojonej na szeroką skalę obławy w wyżej wymienionym rejonie. W nocy z 3 na 4 lipca w rejonie rynku oraz w strefie przemysłowej Podhalańskiej Spółdzielni Owocarskiej w Tymbarku, w tym inż. Józefa Marka. W tym samym czasie informacje o aresztowaniach dotarły do Komendy Obwodu AK Limanowa jak i sztabu Inspektoratu AK „Niwa” Nowy Sącz. W rejonie zrutowiska na Dzielcu, na osiedlu Magorzycy [również używana nazwa Małgorzyca – przyp. P.B] a następnie os. Kuźle, był przetrzymywany w areszcie dr Kulczewski. Dowództwo podjęło decyzję o próbie podjęcia pertraktacji w celu wymiany aresztantów na niemieckiego urzędnika. W tym celu nawiązano połączenie telefoniczne z gestapo w Nowym Sączu. W imieniu AK rozmowę prowadził Władysław Czyż „Pokutnik”, znający język niemiecki. Według relacji partyzantów szef gestapo przyjął propozycję wymiany, lecz ostatecznie po kilku dniach nikt ze strony niemieckiej nie pojawił się w umówionym miejscu i o wyznaczonym czasie. Krwawą odpowiedzią okupanta była egzekucja 32 aresztantów przywiezionych z więzień w Krakowie i Nowym Sączu do Słopnic 17 lipca 1944r. Niemcy w afiszu podali informację, że za uprowadzenie dra Kulczewskiego rozstrzelano 15 osób,

a w rzeczywistości ofiar było dwukrotnie więcej. Wobec krwawej represji ze strony gestapo, dowództwo AK znajdujące się w rejonie zrutowiska na Dzielcu podjęło decyzję o likwidacji niemieckiego urzędnika.

Z analiz dokumentów i relacji partyzantów wynika, że prawdopodobnie dr Kulczewski przyprowadzony przez patrol na miejsce koncentracji widział zbyt wiele: zrutowisko, żołnierzy oddziału partyzanckiego i placówki, by móc przeżyć. Po latach historia z aresztowaniem niemieckiego urzędnika została nieco zniekształcona w środowisku partyzanckich kombatanów. W relacjach błędnie przewijało się nazwisko dra Wilhelma Ohlenbuscha, urzędnika Głównego Wydziału Propagandy w rządzie Generalnego Gubernatorstwa, którego to miano zlikwidować na Dzielcu. Tymczasem Ohlenbusch przeżył wojnę, pełniąc następnie funkcje administracyjne w późniejszej RFN.

## Rekonstrukcja zdarzeń po latach

Do dzisiaj na polanie Magorzycy u podnóża Dzielca, obok opuszczonego gospodarstwa rodziny Dawców, znajduje się kamienna piwniczka, która w 1944r. służyła partyzantom za tymczasowy areszt dla konfidentów, kolaborantów oraz funkcjonariuszy niemieckich. Jesienią 2014r. członkowie Stowarzyszenia Rekonstrukcji Historycznych 1 Pułku Strzelców Podhalańskich Armii Krajowej wraz z Gminą Słopnice i TV28 nagrali film dokumentalny o wydarzeniach z lat 1939-1945 w rejonie Słopnic. Materiał nawiązuje do wydarzeń opisanych w powyższym tekście. Jego celem jest edukacja młodych pokoleń oraz promocja ścieżki historyczno-edukacyjnej 1. Pułku Strzelców Podhalańskich AK im. kpt. Juliana Krzewickiego.

W artykule wykorzystano relację Franciszka Gęsiaka ze zbiorów Marii Król oraz relacje partyzanckie utrwalone przez Józefa Bieńka w artykule: *W kręgu Beskidów i Gorców. Część II. Placówki: Dobra-Skrzydlna, Jodłownik-Szyk, Kamienica-Słopnice, Limanowa.* [w:] Rocznik Sądecki, t. XVIII, s. 231-232.



Leśniczówka Franciszka Gęsiaka, widok współczesny. Fot. ze zbiorów Przemysława Bukowca



# Jubileuszowy Kierat

XV Międzynarodowy Ekstremalny Maraton Pieszy Kierat 2018 przeszedł do historii. Trzydniowa impreza w dniach 25-27 maja, odbyła się już po raz drugi w Słopnicach.

Na starcie MEMP 2018 stanęło 589 zawodników, w tym 502 mężczyzn i 87 kobiet. Sklasyfikowano wszystkich zawodników. Do mety dotarło 356 zawodników, w tym 43 kobiety, czyli 60 % startujących.



Choć prognozy nie były optymistyczne pogoda była łaskawsza dla zawodników, niż dla mieszkańców Słopnic, Tymbarku i Dobrej, gdzie w sobotnie popołudnie przez te miejscowości przeszła nawałnica. Po tej burzy z gradem nastął pogodny wieczór z rozgwieżdżonym niebem i księżycem w pełni. Najszybsi zawodnicy w czasie burzy byli już na mecie, pozostali, którzy byli na trasie, musieli zmierzyć się z powstałymi trudnościami.

W tym roku trasa maratonu prowadziła w kierunku zachodnim. Pierwszy punkt kontrolny był na stoku Mogielicy przy narciarskiej trasie biegowej. Następnie zawodnicy musieli skierować się przez Półrzeczki w kierunku wzniesienia Kiczorki, pasmo Ogorzałej, Łostówkę i Mszanę Dolną do Bazy Wypoczynkowej na Lubogoszczy. Kolejnym wyzwaniem było zdobycie szczytu Szczębla. Przed osiągnięciem półmetka zlokalizowanego w Zespole Placówek Oświatowych w Krzczonowie zawodnicy musieli sforsować „Zakopiankę” i zaliczyć punkt na stoku góry Klimas w masywie Zębalowej. Drugą część trasy rozpoczynało podejście pod Gronik i dalej do Pcimia, aby po przecięciu „Zakopianki” wspiąć się na Małą Banię. Dalej przejście pod szczytem Kiczory do Kasinki Małej, Lubogoszcz, Śnieżnicę, stoki Łopienia do Słopnic. Najkorzystniejszy wariant trasy miał długość 100 km i wymagał pokonania 4000 m podejść w wyznaczonym czasie 30 godzin.

Ze względu na liczne trudne podejścia i długość trasy od zawodników wymagana była dobra kondycja, wysoka odporność psychiczna oraz umiejętność orientacji w terenie.

Zwycięzca maratonu dobiegł do mety w sobotę o godz. 7<sup>19</sup>, okazał się nim Maciej Więcek z Krakowa, który trasę 100 km pokonał w czasie 13 godzin 19 minut. Drugie miejsce zajął Krzysztof Lachor z Kłodnego w czasie 13 godz.56 min., a trzecie Zbigniew Mossoczy z Zabierzowa, który trasę maratonu przebiegł w czasie 14 godz.18 min. Najlepszym zawodnikiem z Limanowej był Paweł Michalik, który zajął szóste miejsce z czasem 14 godz.51 min. Najlepszą z kobiet okazała się Urszula Zimny z Krakowa, która pokonała trasę w 17 godz. 24 min i zajęła 22 pozycję w klasyfikacji generalnej. Drugie miejsce w klasyfikacji kobiet zajęła Joanna Grabowska również z Krakowa ze stratą 4 minut do liderki, a trzecią pozycję zajęła Aleksandra Palkij z Dobrej z czasem 17 godzin 56 min. Najlepszą limanowianką okazała się Kamila Matras, która trasę maratonu pokonała w 20 godzin 9 minut.

W niedzielę rano organizatorzy i uczestnicy maratonu Kierat 2018 oraz zaproszeni goście spotkali się





w sali gimnastycznej Zespołu Placówek Oświatowych w Słopnicach, gdzie Andrzej Sochoń budowniczy trasy i sędzia główny maratonu ogłosił wyniki tegorocznych zmagania kieratowych. W asyście Tomasza Baranowskiego – szefa biura zawodów oraz Andrzeja Pilawskiego – organizatora imprezy, przedstawiciele władz samorządowych powiatu limanowskiego i gminy Słopnice zostały wręczone puchary wyróżniającym się zawodnikom oraz medale wszystkim sklasyfikowanym uczestnikom maratonu. Uroczystość zakończyła się konsumpcją tortu z okazji 15 urodzin maratonu Kierat.

**Opracował Stanisław Ociepka  
na podstawie informacji internetowych  
Fotografie: Tomasz Baranowski,  
Andrzej Osyszko, Jacek Porębski**



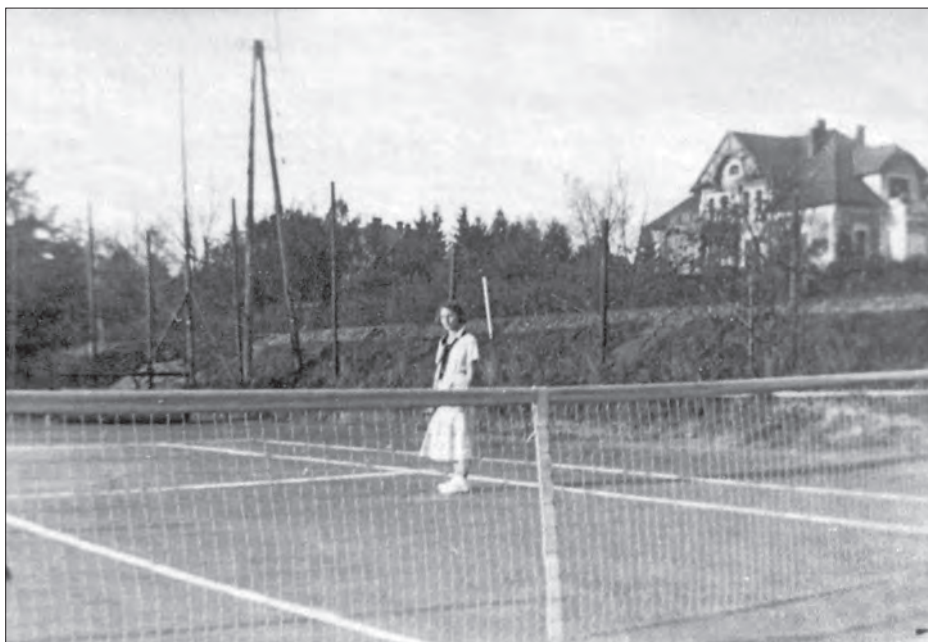


# Festyny

Zbigniew Sułkowski

Jest parę określeń łacińskich dla znamienych cech człowieka – *homo sapiens* (człowiek myślący), *homo faber* (... sprawny, rzemieślnik), jest i *homo ludens* (... bawiący się). Rozrywka i wszelka zabawa dla dorosłego jest oczywistym szaleństwem, pamiętam rzymską sentencję – „Któż płąsa, jak nie pijany lub szalony?” Ale dobrze też pamiętać, że owi trzeźwi Rzymianie mieli jednak swojskie imprezy masowe w amfiteatrach – z udziałem lwów i chrześcijan na przykład. W średniowieczu mieli swoje turnieje rycerze, bawiło się na miarę możliwości mieszczaństwo i chłopstwo, czasem nawet na przekór. Romain Rolland w „Collas Bregnon” prezentuje taką historię – pewne miasto użytkowało do woli od lat książęcą łąkę, aż tu nagle szlaban – księżę zabronił. Cóż zrobić? Ale można przynajmniej tyle – miasto na cześć księcia urządziło na łące uroczystą procesję, a potem całodzienny festyn, po którym przez rok z łąki nie mogło być żadnego pożytku.

Festyn. Z łac. festum (święto). Utarło się, że oznacza ludową zabawę z licznymi atrakcjami na wolnym powietrzu. Egzystuje w różnych krajach do dzisiaj w zależności od tego, jak lubi się tam zabawiać wspólnie z innymi.



Kort tenisowy. W tle, za torem willa „floriańska”

Przejdźmy na własne podwórko z pytaniem – co u schyłku wieku XIX w powiatowej przecie Limanowej można było robić w wolnym czasie? Gdy nawet przysłowiowa jedyna atrakcja wyszła w końcu za mąż? Sezonowe trupy teatralne (trupa to nie trup) mogące jakoś wyżyć z przedstawień w Bochni, Krośnie czy Jaśle, Limanowej w ogóle nie uwzględniały w swych planach. Za biednie tu było, czasem zajechał wędrowny cyrk i to wszystko.

Poprawiło się po zbudowaniu sowlińskiej rafinerii. Zawiadująca nią międzynarodowa spółka akcyjna szła drogą zachodniego postępu cywilizacyjnego. Rozumiano, że wydajność zależy od dbania o pracownika i jego potrzeby.

Socjalne i kulturowe. Dlatego w powstałej wraz z fabryką kolonii mieszkalnej znalazły się – kasyno urzędnicze z okazałą salą balowo – koncertową, świetlica z zapleczem dla robotników, oraz dwie kręgielnie, boiska do siatkówki i tenisa – dla wszystkich. Nieco później w rafineryjnym budynku powstało pierwsze na Limanowszczyźnie kino.

Potrzeba życia towarzyskiego była wtedy silna, więc i fabryka urządziła spotkania pracowników (dziś szumnie nazwane „integracyjnymi”), a cóż jest przyjemniejsze niż impreza na wolnym powietrzu? A więc festyn.

Miejsce wybrano w sowlińskiej Dębnie, w odludnym wtedy miejscu przy drodze na Bochnię. Przejeżdżając dziś tamtędy,



W czasie pokazów gimnastycznych na placu pod limanowskim „Sokołem”. Początek XX wieku

nie zwraca się uwagi na zakrzaczony gęsto kawałek lasu, ale jeszcze nie tak dawno był to sympatyczny, wolny od niskich zarośli zagajnik dwudziestu paru nie za gęsto rosnących okazałych dębów, po stronie zachodniej przechodzący w grupę wyjątkowo dorodnych jak na Beskidy sosen, którymi w latach 70-tych bardzo interesował się botanik z Wydziału Leśnictwa krakowskiej WSR i prosił limanowskie nadleśnictwo o ich oszczędzenie.

Pośrodku Dębiny wytrasowano poziomo półokrągły taras do tańca i dla orkiestry, „taneczny parkiet” stanowiła sporządzana doraźnie podłoga z surowych desek; uszlachetniona struganą ze świeczek parafiną zapewniała posuwistą lekkość wykręcanych piruetów. A grać mogła na miarę swych umiejętności rafineryjna orkiestra dęta lub raczej powszechnie cenieni w Limanowej Bracia Mordarscy. Warto przypomnieć, że były to czasy, kiedy odbiór muzyki możliwy był na dwa sposoby – albo zagraj sam, albo słuchaj jak grają inni. To też zwiększało atrakcyjność festynu. Do udziału w rafineryjnym festynie zachęcał zazwyczaj konny herold z trąbą, który w błazeńskim obleczeniu objeżdżał okolice. Jeszcze i po wojnie to widywałem.

Atrakcji było sporo – odręczne plakaty zachęcały do imprezy wg wzorca – „**orkiestra doborowa, bufet tani i obfity, w programie liczne niespodzianki**”. Były nimi na przykład – namydlony



słup z fantami dla zdobywcy na szczycie, wspinaczka sama w sobie była niezłym programem humorystycznym; różnego rodzaju igrzyska w celnym rzucaniu; dla siłaczy były zawody w dźwiganiu beczki piwa... w zębach – w tym przewagę miał ślusarz Karol Gasidło, w fabrycznej orkiestrze mistrz bębna i czyneli. Do czasu, bo jak opowiadano złośliwie, miał raz „przełajnować”, gdy dla efektu na podniesionej zębami i okazałym brzuchem 25 – litrowej „ćwiartce” piwa posadził 10-latkę i... stracił przednie zęby. Z piwem wiązały się i inne zawody – czterookobowe drużyny zasiadały wokół beczek piwa i... kto opróżni swoją pierwszy! Mało to było, nawet pomijając szczegóły, wytworne, więc dla przeciwwagi pracowała festynowa „poczta z serduszkami”. Za jej pośrednictwem wymieniano, raczej pod pseudonimem, liryczne komplementy i sentymenty.

Dla młodzieży Dębina oferowała jeszcze inną atrakcję – prostą grawitacyjną kolejkę linową na kilkadziesiąt metrów – od dębu do dębu.

W przedwojennej Limanowej (mieście) festyny – myślę – mogły się odbywać obok istniejącej do lat 50-tych kręgielni pod nieistniejącym budynkiem „Sokoła” w pobliżu potoku Mordarka, w miejscu, gdzie po latach było targowisko „W dołku”, a obecnie podziemny parking z niepodarzoną targówką na wierzchu. Dla porządku dodam, że miasto posiadało już wtedy stadion piłkarski KS „Limanovii” i działały trzy teatry amatorskie – w „Sokole”, żydowski i kolejowy w świetlicy pod stacją. W wielu domach były już radioodbiorniki (nie tylko te najprostsze „na kryształki i słuchawki” nie wymagające elektrycznego zasilania) oraz odtwarzające muzykę z płyt patefony. Cały ów postęp nie hamował potrzeby zbiorowej letniej zabawy „na powietrzu”.

Po wojnie tradycja limanowskich festynów nie zanikła. W Dębiniu organizowano je już rzadziej, za dogodniejsze miejsce w Sowlinach uznano tzw. „Planty”, minipark pośrodku osiedla przyfabrycznego. Łatwiej tu było korzystać z elektryczności (oświetlenie i nagłośnienie) no i wszystkim było bliżej. Zanikły pewne gry festynowe, ów gładki słup z atrakcyjną nagrodą u góry, zawody piwne; „bufet tani i obfity” nie tak bogaty już był w różnorodność przekąsek, bo permanentne były peerelowskie trudności zaopatrzenia w artykuły



Rafineryjne kasyno urzędnicze ok. 1930 roku



Orkiestra działająca przy rafinerii w Sowlinach. Lata międzywojenne

spożywcze. Za to elektroniczne nagłośnienie estrady muzycznej dawało miejscowym talentom śpiewaczym jedyną możliwość występu przed mikrofonem. Jawiły się więc lokalne sławy basu czy tenoru, dziewczyny jeszcze wtedy się przy takich okazjach nie prezentowały.

Potem festyny przeniesiono „pod takt” (istniał na terenie dzisiejszego szpitala), gdzie w miejscu późniejszego zastępczego boiska „Limanovii” było wśród zarośli rozległe pastwisko.

Grało kolejne pokolenie Braci Mordarskich – Mieczysław, Ludwik i Władysław ze skrzypkiem, śpiewakiem i konferansjerem Tadeuszem Wiktorkiem. Pary szalały na deskach, jeśli akurat nie szukały samotności w nadrzecznych olszynach. Wzmocniona przez megafony

muzyka nie mając konkurencji, anektowała obszar szerszy od całego miasteczka. Bo festyn był wyrazem obyczajowego pogranicza miasta i wsi.

Jak w słowach dawnego szlagieru – „Nie wiejska, nie miejska zabawa podmiejska...”

Dzisiaj słyszy się czasem o festynach parafialnych czy charytatywnych, ale to już inni ptakowie inne pieśni wiodą. Festynami lotniczymi określa się też pokazy lotnicze z przyległościami, choć zaczyna dominować *trendy* określenie „piknik lotniczy”, choć piknik to z angielskiego „rodzinne śniadanie na trawie”.

**Fotografie:**  
arch. Zbigniewa Sułkowskiego,  
arch. albumu „Okruchy pamięci”





**BANK SPÓŁDZIELCZY  
W LIMANOWEJ**

# Kredyt Spełnienie Marzeń

Nie odkładaj planów na później -  
realizuj je teraz z kredytem bez prowizji!



**Tylko teraz prowizja 0%**

**Skorzystaj z promocji i zrealizuj swoje marzenia:**

- ✓ kwota kredytu do 100 000 zł
- ✓ możliwość wyboru ubezpieczenia
- ✓ okres kredytowania do 60 miesięcy
- ✓ bez ukrytych kosztów
- ✓ szybka decyzja kredytowa
- ✓ wysokość raty dopasowana do indywidualnych potrzeb

Przykład reprezentatywny dla kredytu Bezpieczna Gotówka udzielanego w ramach promocji „SPEŁNIENIE MARZEŃ”:

Rzeczywista Roczna Stopa Oprocentowania (RRSO) wynosi 9,92% - przy następujących założeniach: całkowita kwota kredytu (bez kredytowanych kosztów) 11 720 zł spłacana w 36 miesięcznych ratach kapitałowo-odsetkowych: 35 rat po 375,56 zł i jedna rata 377,13 zł. Stopa oprocentowania kredytu stała w wysokości 9,50% w stosunku rocznym. Całkowita kwota do zapłaty przez konsumenta wynosi 13 521,73 zł, w tym: całkowita kwota kredytu - 11 720 zł, całkowity koszt kredytu - 1 801,73 zł, na który składają się: odsetki - 1 801,73 zł, prowizja za udzielenie kredytu - 0 zł, składka ubezpieczeniowa - 0 zł oraz opłata przygotowawcza - 0 zł. Kalkulacja została dokonana na dzień 19.03.2018 r. na przykładzie reprezentatywnym. Przyznanie kredytu przez Bank uzależnione jest od pozytywnej oceny zdolności kredytowej. Niniejszy materiał ma charakter wyłącznie informacyjny i nie stanowi oferty w rozumieniu ustawy z dnia 23 kwietnia 1964 r. Kodeks Cywilny.

**„Spełnienie marzeń”... w najbliższej placówce Banku!**



# NOWE MIESZKANIA

W ZABUDOWIE SZEREGOWEJ

JUŻ W SPRZEDAŻY LIMANOWA, UL. KOCHANOWSKIEGO



OSIEDLE  
KOCHANOWSKIEGO



CENY MIESZKAŃ

JUŻ OD **250 tys. zł**

(cena zawiera 8% stawkę VAT)

tel. 604 426 516

tel. 696 567 753

e-mail: [anna.dziedzic@impuls-psb.pl](mailto:anna.dziedzic@impuls-psb.pl)

[www.kochanowskiego.limanowa.pl](http://www.kochanowskiego.limanowa.pl)